

Pod wieloma względami ta podróż miała być testem. Pojechaliśmy z Iwoną nowym samochodem, który od ponad roku przygotowywałem. Kupiłem Mercedesa Sprintera 4WD z myślą, aby służył mi jako dom na kółkach. Dom w znaczeniu mieszkania. Zapraǳałem spędzać więcej czasu w ruchu, albo po prostu poza domem z cegły. Jak ślimak, albo żółw, który gdziekolwiek się ruszy, ma ze sobą na grzbiecie własny dom. To dla mnie nowa idea. Wcześniej podróżowałem samochodem, spędzając w nim niejednokrotnie kilka miesięcy, ale podróż to co innego niż mieszkanie na kołach.

Dla ludzi niezwiązanych z tematem, siedzenie w samochodzie po kilka miesięcy w trasie, lub przemieszczając się nieznacznie, to to samo, ale tak nie jest. Podróż to przede wszystkim celowość działania, wybrany kierunek, plan poruszania się i cel do jakiego się dąży. Prawie codziennie jedzie się dalej i dalej. Wtedy ważniejsze jest, aby pojazd miał więcej zdolności jechania, niż stania na miejscu. Można poświęcić komfort życia w nim, na rzecz łatwiejszego przemieszczania się, mniejszych kosztów jazdy, większej niezawodności, itd.

Kiedy mieszka się w samochodzie, nie ma określonego kierunku poruszania się, plan kurczy się do 'po prostu bycia tutaj', a za tydzień... zobaczymy gdzie pojedziemy. Celu w ogóle nie ma. Wtedy ważniejsze jest, aby samochód dawał jak największy komfort bytowania, kosztem jego właściwości jezdnych, czyli wielkości, terenowego zawieszenia, ekonomiki, itp. Oczywiście należy jednak utrzymać jakąś granicę zmieniania samochodu w dom. Wydaje mi się, że ja nie potrzebuję czuć się dokładnie jak w domu. Może dlatego nie mam ubikacji i kilku typowych, dla kamperów turystycznych udogodnień. Ale to już zupełnie inna opowieść.

A więc jedziemy tym naszym Murzynem, bo tak został ochrzczony, głównie ze względu na swój kolor. Jedziemy z przerwami. Produkty firmy Mercedes, jeszcze przed końcem XX wieku, stały się pojazdami niskiej jakości wykonania i materiałów. W końcu nawet w mentalności społecznej w Polsce, gdzie Mercedesy są niemalże dobrem narodowym, ukuł się pogląd, że Mercedes buble jest, ale widocznie tak być musi.

Nie jest to miejsce, gdzie będę tego poglądu dowodził, robię to przy innych okazjach (www.kilometr.com/opis-murzyn.html). Na razie samo życie pokazuje nam jak ciężko podróżuje się Mercedesem. Zrobiliśmy ledwie 200 kilometrów od domu, a już trzeba było naprawiać i to długo, bo dwa dni. Potem nękały nas małe awarie, które usuwałem w trakcie podróży. A wybraliśmy kierunek na południe. Najpierw wróciliśmy do Bośni. Wróciliśmy po wielu latach nieobecności. Potem ponownie odwiedziliśmy czarnogórski Dormitor, gdzie zażyliśmy łażikowania po pięknych górach do syta. Posiedzieliśmy też w Albanii i w Grecji, aż w końcu, po miesiącu dojechaliśmy do Turcji.

Odwiedzaliśmy Turcję dokładnie 13 razy przez ostatnie 19 lat. Ale to były tylko przejazdy. Jechaliśmy do Indii, albo do Syrii, albo na Kaukaz. Tym razem chcemy zwiedzić Turcję dokładnie. Czyli na razie podróż, a nie mieszkanie na kołach.

Zaplanowaliśmy około 4 tygodnie na kręcenie się po Turcji wschodniej. Turystyczne rejony Turcji zachodniej i środkowej, raczej nas nie pociągają. Pragniemy czegoś dzikiego, mniej znanego, może przez to wydającego się bardziej prawdziwym, a mniej stworzonym na pokaz. Ano zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Wjechaliśmy do Turcji z Grecji. Jest tu tylko jedno przejście graniczne, między tymi od stuleci zantagonizowanymi krajami. Jest rok 2022, przełom lipca i sierpnia. Okres wielkiej, bo nadmuchanej przez 'władzę' zarazy, wydaje się już mija. W większości krajów na świecie zniesiono zakazy wjazdu i wymogi szczepień. Propaganda straszy nowymi wirusami, niektórzy ludzie temu się poddają, noszą maseczki na twarzy, pomimo zniesienia nakazów ich noszenia. Świat nie wrócił na dawne tory, zwłaszcza że kilka miesięcy temu wybuchła wojna w Europie. Dawno jej tu nie gościliśmy. Z każdym rokiem zwiększało się więc prawdopodobieństwo jej pojawienia się. No i mamy.

Media głównego nurtu porzuciły wytarty temat wirusa i wzięły się za wojnę. Turcja nie uczestniczy w niej bezpośrednio, ale stara się wykorzystać okazję, aby umocnić swoje wpływy, zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie. Turcja od wielu lat przeżywa głęboki kryzys finansowy. Mówi się, że to z powodu właśnie zwiększonej przychylności dla Rosji, Ameryka zniszczyła turecką walutę, zapoczątkowując szereg następstw makroekonomicznych.

Mówi się wiele rzeczy o ekscentrycznym i charyzmatycznym prezydencie Turcji – Erdoganie. Tymczasem naszym oczom ukazała się nowa autostrada z Grecji do Istambułu, na dodatek pełna nowych samochodów. Zajechaliśmy do pierwszego miasteczka, celem wymiany waluty, zakupu karty do internetu, oraz naklejki uprawniającej do wjazdu na płatne autostrady.

Keson przywitał nas, w to piątkowe popołudnie, sporymi korkami na ciasnych uliczkach centrum. Znaleźliśmy coś w rodzaju kantora wymiany walut, jak się okazało jedynego. W bankach nie wymieniają, na granicy kantorów nie zauważyliśmy. Nie wymieniliśmy zbyt wiele, bo lira turecka traci względem wiodących walut każdego tygodnia. A wewnątrz kraju mają tutaj ponad 20% inflację.

Turcja odkąd pamiętam, była dla nas dość drogim krajem. Na pewno miała bardzo drogie paliwo. Teraz jest inaczej. Paliwo jest dość tanie, w porównaniu do cen w sąsiednich krajach. Ale nadal drogie, ponieważ ten rosyjsko-amerykański spór w postaci wojny, mocno poniósł ceny paliw. Ceny w sklepach tureckich, jakby niższe niż w Polsce. Za to karta do internetu, dość droga. Za 20GB na miesiąc – 120zł. Mniejszych pakietów nie przewidują.

Pojechaliśmy dalej, odwiedzając każdą, napotkaną stację Shell. Ktoś w internecie napisał, że tam można dostać naklejkę autostradową. Ale jakoś nie chciało być to prawdą. Ludzie azjatyccy, chociaż nie tylko, nie potrafią odpowiedzieć na pytanie – nie wiem. Wolą powiedzieć cokolwiek, zamiast okazać się niepomocnym, niewiedzącym. Coś jak dzisiejsze przeglądarki internetowe. Wyrzucają jakiegokolwiek wyniki, słabo związane z pytaniem, byle tylko nie okazać się 'niewiedzącym'. Oczywiście powoduje to stratę czasu i uwagi pytającego. Jak teraz, kiedy jesteśmy odsyłani z jednego Shella do drugiego.

Zanocowaliśmy na ściernisku, ponad wioską Kiniklar. Mieliśmy spokój, ciszę i cień. Słońce w Grecji nas już trochę wymęczyło. W Turcji jest chłodniej, ale nadal słonecznie. Rano, wyjeżdżając z noclegu, pojawiły się problemy z automatyczną skrzynią biegów. Ale samochód pojechał dalej. Dopiero na obwodnicy Sulejmanpasza, zaraz po wyjechaniu z kolejnego Shella, Mercedes stanął na dobre. Doturlaliśmy się jedynie do wybetonowanego rowu melioracyjnego, który mógł mi służyć jako kanał, by swobodnie wejść pod samochód.

Okazało się, że odkręcił się czujnik ciśnienia oleju w systemie sterowania skrzynią SprintShift. Ponad połowa oleju wyciekła pod ciśnieniem na ziemię. Usterkę usunąłem dość szybko, ale skąd wziąć nowy olej. Jest to dość specyficzny płyn, trudnodostępny.

Iwona poszła na poszukiwania do miasta, ja szukałem w internecie nazw zamienników i symboli, jakie mogłyby pomóc w znalezieniu czegoś nadającego się do wiania. W końcu Iwona, wspomagana przez niezwykle uczynnych mechaników tureckich, trafiła do sklepu/dealera Mercedesa, gdzie mieli taki płyn, ostatnią butelkę sprzed wielu lat, zakurzoną i upstrzoną pajęczynami. Wystarczyło tylko skonstruować odpowiedni przewód z lejkiem, aby rzeczony pół litra oleju nalać.

I tak spędziłem parę godzin na poboczu autostrady, a głównie pod samochodem. Tylko raz zatrzymał się pomocny nad miarę Turek, aby zapytać – czy mogę w czymś pomóc. Mamy doświadczenie z Turcji i innych krajów azjatyckich i islamskich, że taka pomoc/zainteresowanie jest okazywane dużo częściej. Ja jednak pochodzę chyba ze Skandynawii. Tam jak nie podniesiesz ręki, jak nie zapytasz o pomoc, to choćbyś umierał na chodniku, nikt ci nie pomoże. Tak lubię.

Tak to jest podróżować nowoczesnymi pojazdami. Sprinter ma 19 lat. Jest dużo bardziej nowoczesny od naszej 32-letniej Toyoty, ale już nie jest tak nowoczesny, aby dealer

Mercedesa w Turcji miał na półce zapas oleju do SprintShifta. A co by się stało, gdyby kierowca, znaczy się ja we własnej osobie, nie posiadał wiedzy jaki olej wlać, ani zręczności jego wiania? Zwykle takie naprawy odbywają się podług innej procedury. Kierowca szuka lawety, potem serwisu, a jak go nie znajduje to jakiegokolwiek mechanika. Serwisant raczej będzie wiedział co wlać, ale zwykły mechanik wleje jakiś płyn ATF i w ten sposób popsuje maszynę. Jak sam nie zrobisz, to się nie wyśpisz... w samochodzie.

Dojechaliśmy w końcu do pierwszej bramki płacenia na autostradzie i tam udało się zakupić naklejkę. Mieliśmy jeszcze plastikową kartę KGS, która w 2015 działała. Teraz już mają inny system, droższy. Okazało się, że za 110km autostrady + nowy, północny most na Bosforze, zapłaciliśmy 42.91zł (2022).

Trudno jest przejechać okolice Bosforu bez korzystania z płatnych autostrad. Korki są niesamowite. Już to sprawdzaliśmy i to wieki temu, w 2003. Ale jak będę wracał jesienią do Europy, to przejadę Istanbuł nocą, po niepłatnych drogach. Może się uda zrobić to całkiem sprawnie.

Zanim jeszcze osiągnęliśmy płatną autostradę musieliśmy przedelfilować wzdłuż turystycznego wybrzeża morza Marmara. Jedno, niekończące się Międzyzdroje i tłumy wakacjuszy. Pod koniec dnia jechaliśmy już wzdłuż wybrzeża morza Czarnego i tu ponownie to samo. A jaki przepych i bogactwo spędzania wolnego czasu przez Turków. Nijak nie widać, aby upadająca gospodarka wpływała na poziom zamożności obywateli. Mało tego, pojawiły się nowe trendy turystyczne w ciągu ostatnich siedmiu lat. Najnowsze, terenowe kampery, a także wiele sprowadzonych z Niemiec, starych trupów, przygotowanych kiedyś pod van-life przez jakiegoś Hansa, czy Helmuta, są też produkowane lokalnie przyczepy i kampery, również najnowsze i najdroższe motocykle podróżnicze w wielkiej ilości. Kiedyś widywało się Niemców w kamperach, teraz są jeszcze, ale w starszych pojazdach. Te nowiutki i świecące się złotymi klamkami, to pojazdy nowej kasty tureckiego społeczeństwa, ludzi spędzających wolny czas turystycznie, jak na Zachodzie.

To nie koniec naszego zaskoczenia. Szukając wieczorem dzikiej i bezludnej plaży na wybrzeżu, trafiliśmy na podobnych do nas, którzy już przed nami takie plaże znaleźli. Stronili od drogich kurortów, szukali spokoju. To także Turcy. Nigdy wcześniej czegoś podobnego w tym kraju nie obserwowałem. Pewnie im dalej na Wschód tym mniejsza aktywność tureckich turystów, ale to jeszcze przed nami.

Zaraz jak tylko przeskoczyliśmy Bosfor nowym mostem ponad wielkimi masowcami sunącymi na południe, do Afryki, z ukraińskim zbożem uwolnionym przez Putina, zjechaliśmy w kręte ścieżki, w górskie wybrzeże morza Czarnego. Drogi były wypełnione wakacjuszkami z wielkich miast tureckich. Kolejne wioski przebudowano kompletnie na kurorty. Każdy dom, każda zagroda, służyła teraz jako hotel, spa, restauracja, lub inny butik ze sprzętem plażowym. Od razu rzuca się w oczy 'nowość' tych wszystkich przebudów. Droga jeszcze stara, ale prywatna inicjatywa turystyczna już rozbuchała się na pełnym ogniu pieniędzy letników. Budują nową autostradę, przecinającą te strome pagórki tunelami i estakadami. Niedawno skanalizowali i zelektryfikowali te wsie, a już są centrum tureckiego blichtru. Wypożyczalnie quadów i rowerów elektrycznych, skuterów wodnych i sprzętu do snorklowania. Loty za łódką na spadochronie. Jeden tylko bóg konsumpcji wie, czego tu jeszcze nie wymyślili.

Ludzie z miast mają pieniądze i wydają je szybko, zanim stracą na wartości. Tak wielka inflacja rodzi spadek poczucia bezpieczeństwa i zaufania do wartości nienaruszalnych. W dzisiejszych czasach wszelkie sprawy, nie tylko materialne, są uzależnione od pieniądza. Kiedy on traci swą wartość, ludzie tracą pewność siebie. Wielkiego bezrobocia nie ma, większość społeczeństwa nadal ma z czego żyć i czuć się użytecznym członkiem narodu. Ale pieniądź 'parzy', ludzie szukają sposobu przechowania jego wartości w innych dobrach,

choćby w inwestycjach w przemysł turystyczny. To rozgrzewa gospodarkę i zwiększa inflację.

Znaleźliśmy nocleg na niewielkich, skalistych klifach, obok mocno turystycznej miejscowości Bagirganli Plaji. Urokliwe skały cięły fale morza, a my ponad nimi, pośród kosodrzewiny, albo czegoś podobnego i zielonego. Nie tylko my, przyjechali także inni i rozbili namioty. Ładne miejsce, są skaliste plaże, gdzie można zażyć snorklowania. Jedyne co psuje klimat, to pobliskie budynki hoteli i hałas kurortu, czyli inni ludzie od nas.

Rano słońca nie było, ale straszna duchota, jak w tropikalnych, równikowych krajach. Nie wiadomo skąd. Czekало nas ponad trzysta kilometrów jazdy wybrzeżem do Amasra, starej, rzymskiej twierdzy, wykorzystywanej jeszcze na przestrzeni tysiącleci przez Genuńczyków, Turków i innych.

Trudno nam było wydostać się z turystycznej strefy nadbrzeża morza Czarnego. Ciągnęła się jak tureckie seriale i nie chciała się skończyć. Natłok turystów, ścisk samochodów, których kierowcy jadą szybkością spacerową, szukają hotelu, albo restauracji, nie są przyzwyczajeni do górskich serpentyn, autokary próbujące zaparkować na poboczu, wyrobić się na wąskiej drodze, na zakręcie, oraz autochtoni, którzy wiecznie się spieszą, w swych Tofasach Safrin, czyli licencjonowanych Fiatach Regata. Wszystko to męczyło nas aż do autostrady, zdążającej do stolicy regionu – Zonguldak. Parę razy w historii naszych podróży do Indii, Zonguldak było miejscowością, na którą kierowaliśmy się przemierzając setki kilometrów serpentyn. Teraz drogi są prostsze, dwupasmowe i wreszcie, po tylu latach dotarliśmy do Zonguldak, całkiem ciekawego miasta.

To nadmorska miejscowość dość sporych rozmiarów. Położona jest na niezwykle stromych zboczach wpadających skałami do morza. Dochodzi tu linia kolejowa z Istanbulu. Biegnie dalej, przez pobliskie kopalnie węgla i porty nad morzem Czarnym. Zbudować tyle wieżowców na tak stromych zboczach, doprowadzić do nich drogi, to nielada sztuka. Przejechaliśmy ściśle centrum, czasami stromizny były tak wielkie, że trzeba było jechać na pierwszym biegu. W popołudniowym słońcu Zonguldak ciekawie się prezentował. Uderzyła mnie pewna prawidłowość w takich miastach przyklejonych do zboczy gór. Uwięziona energia, potencjał zawalenia tego wszystkiego, zatrzymany myślą inżynierów, w betonie. Czy odbija się to na świadomości mieszkańców, ta wielkość energii potencjalnej, ten ścisk i wysiłek jaki trzeba włożyć w utrzymanie równowagi, w zatrzymanie się, nie tylko pojazdem, w miejscu, na pójsie dokądkolwiek, świadomość że cokolwiek się rzuci na ziemię, to może potoczyć się gdzieś, gdzie nie powinno. Tutaj jest tak inaczej, względem miejsc, gdzie jest wiele przestrzeni płaskiej, wiele miejsca, spoczynek energii, brak wysiłku.

W Zonguldak zauważyliśmy ciekawy pomnik górnika. Wcześniej widywaliśmy pomniki orzecha laskowego, w zagłębieniu plantacji orzecha i truskawki pośród pól truskawkowych. Teraz widzimy górników. Pojechaliśmy mniej uczęszczaną drogą dalej na wschód, wzdłuż wybrzeża. Zbudowano w tym roku kawałek autostrady, właściwie same tunele, do miejscowości Kilimli. My jednak pojechaliśmy starą drogą, niezwykle stromą i wąską. Kilimli to taki Sopot dla Gdańska. Tutaj spędza się niedzielne popołudnia. Nic dziwnego, że miejscowość była zakorkowana.

Ale jakoś się z tego klejącego upału, duszności i ścisku wydostaliśmy. Dalej zapuściliśmy się wprost w zabudowania kopalni węgla. Roboty drogowe zmusiły nas do objazdu przez trasy ciężarówek wożących urobek do portu. Między wagami, parkingami, bramami kopalń, bocznicami kolejowymi, silosami w portach, w końcu udało się nam wyjechać w przestrzeń leśną. Zabudowania nadal ciągnęły się niskimi blokhauzami dla pracowników kopalń i portów. Twarze przechodniów się zmieniły, samochody postarzały, znikł blichtr i blask sklepików. Ulice były zniszczone przez ciężarówki, chodniki wykrzywione czasem. Urodę na pokaz, zastąpiło utylitarne budownictwo. Zrobiło się nam swojsko na duszy. Taki normalny krajobraz przedmieść ludzkich sypialni, wydał się nam bardziej naturalny i przyjazny niż sztuczna, radosna konsumpcja nadmorskich kurortów.

Dojechaliśmy do Filyos, kolejnego miasteczka portowego u ujścia rzeki Yenice Irmagi. Zatrzymaliśmy się pod dworcem kolejowym, z którego akurat odjeżdżał pociąg do Istanbulu. Wcześniej była plaża publiczna, ale nie dla turystów, raczej dla ludzi pracy tego miasta, spędzających niedzielę z rodzinami. Zamówiliśmy herbatę w obskurnej cafe. Takiej zwykłej, do której przychodzą mężczyźni z okolicznych kamienic. Siadają na zmęczonych, chwiejnych, drewnianych stołkach i opierają łokcie na kwiecistej, klejącej się ceracie. Rano dostają czaj w filuternych szklaneczkach, albo kawę popołudniową porą. Do dyspozycji mają pojemnik po lodach, wypełniony kostkami cukru. Pan restaurator jest nie do odróżnienia od swych klientów, siedzi razem z nimi, zna ich wszystkich. Kawa po 4.02zł, herbata po 2.86zł. Pomimo, że brak tutaj zagranicznych turystów, nikt na naszą 'inność' nie zwraca uwagi. Nikt nas nie pyta – skąd, jak i po co. Trochę to dla nas nienaturalne, ale przyjemne. Siedzimy i przypatrujemy się płynącemu życiu na odległej prowincji tureckiej. Ktoś wysiadł z pociągu, ktoś po niego przyjechał zdezelowanym Tofasem, inny przyniósł karmę dla bezpańskich psów, których jest tutaj sporo, wałęsających się bez celu. Rozsypał ją przy krawężniku i zachęcał psy do konsumpcji, ale one jakoś ospale reagowały. Taksówkarz przypalił kolejnego papierosa i nadal czekał na słońcu, a klient nie przybywał mu z ratunkiem. Młodzieńcy przejechali pierdzącym mopedem, bez tłumika lepiej jedzie. Może więcej hałasuje niż jedzie, ale zawsze. Jeden z biesiadujących obok nas, zgasił papierosa, pożegnał restauratora i odszedł do zaparkowanego Renaulta. Czas płynął niepostrzeżenie bez celu. Pojechaliśmy żegnani dalej.

W końcu wjechaliśmy na znaną nam drogę. Jechaliśmy nią w 2003, potem jechałem nią w 2008, ale nic nie rozpoznawałem. Teraz to autostrada zapchana turystami. Nie... nie europejskimi, sami Turcy. W uścisku takiego sznureczka pojazdów, dojechaliśmy stromo w dół do Amasra. Zaparkowaliśmy na zatłoczonym parkingu, tuż na skalistym wybrzeżu, obok śmierdzącego śmietnika i kamieniołomu. Duchota i gorąc, wypchnęły nas na zwiedzanie miasteczka, albo raczej turystycznego kombajnu.

Niewielkie pozostałości zabytkowych kamienic, czy murów dawnego Amasra, to ledwie przyczynek do tego, by zbudować kurort dla turystów. Można by przecież zbudować taki gdziekolwiek, jak Rovaniemi w Finlandii, ale przynajmniej zabytek UNESCO jest jakimś powodem, motywacją do reklamy w mediach, by przyciągnąć klientelę, do licznych restauracji i hoteli. Nikt tu nie zwiedza, nawet plaże są liche. Przyjeżdża się konsumować... cokolwiek, byle w wakacyjnej atmosferze przepychu, hałasu, rozprężenia i lenistwa.

Staraliśmy się odnaleźć jakieś pozostałości dawnej Amasra. Trzeba uciec w boczne uliczki, wejść na pobliski szczyt, na wyspie połączonej z lądem zabytkowym mostem. Amasrze bardzo daleko do Trogiru w Chorwacji, ale jak się chce coś znaleźć, to się znajdzie. Im dalej od centrum, ale stara Amasra to ledwie wioska, więc daleko nie trzeba chodzić, tym bardziej klimatycznie, nawet chce się usiąść w kafejce i popatrzeć na ten kombajn z góry.

Noc na parkingu nie była przyjemna. Duchota, smród śmieci i hałas młodzieńczej muzyki do białego rana. Trzeba było pojechać w góry. Ledwie paręnaście kilometrów wąską dróżką i już byśmy mogli zanocować na parkingu pod jakąś jaskinią. W nocy jaskinia nieczynna, brak turystów, spokój i cisza. Ale tym razem się nie udało. Odnaleźliśmy ten parking pod jaskinią Gurcuoluk Magarasi dopiero rano.

Rano uciekliśmy wreszcie od morza, nadmorskich kurortów i duchoty. Uciekliśmy w nieznanne skróty, ścieżki górskie, gdzie pasterze prowadzący krowy na hale, wytrzeszczali gały na nasz widok. Tutaj spokojnie zrobiliśmy pranie, przy jednym ze źródełek. Znaczą Iwona zrobiła. Tureckie góry są soczyste od wody, nie to co Bałkany, czy Grecja. Kranów z górską wodą jest pod dostatkiem.

W końcu wydostaliśmy się na główną do Safranbolu, dawnej stolicy handlu szafranem w Turcji. Niegdysiejsi, bogaci kupcy wybudowali sobie mnóstwo ciekawych rezydencji na stromych wzniesieniach. Budowali podwójnie. Jedna rezydencja na lato, na szczycie góry,

tam gdzie chłodniej i wiatr. Druga w dolinie, gdzie wiatru w zimie nie ma i cieplej przy rzece. Do tego stary zamek, potężny caravanserai, czyli taki bank przechowujący i handlujący dobrami przywożonymi przez karawany ze Wschodu, kilka meczetów słusznej, bogatej postury. Teraz Safranbolu to spore miasto, starówka otoczona jest przemysłowymi dzielnicami. Miastu nadal dobrze się wiedzie. Handel i przemysł kwitnie, starówka jest pełna turystów tureckich. Spotkaliśmy parę z Niemiec i Belgii.

Każda urokliwa uliczka starego miasta, zapchana jest kramami sprzedającymi wszystko co ma związek z szafranem. Wciskają go nawet do wody sodowej, może nawet w wystrugane z drewna łyżki i miski. Oczywiście każdy kram i każda restauracja, mają tą samą ofertę, więc nie ma co chodzić, lepiej skorzystać od razu, na rogu. Po zmroku, kiedy ciepłe światła zastępują skwierczące słońce, jest tutaj przyjemnie jak w Dubrovniku. Na pewno to przyjaźniejsze miejsce od Amasry.

My, jak zwykle, poszliśmy w bok, w niewydeptane uliczki, pośród nieodrestarowane kamienice, zaglądaliśmy w zapyziałe podwórka, uśmiechaliśmy się do mieszkańców stroniących od turystów. Można spotkać starych mieszkańców wysiadujących w oknie domu i machających przyjaźnie na powitanie obcego, w wąskiej uliczce zapchanej zaparkowanymi, starymi samochodami. Można podpatrzeć rzemieślnika skrobiącego coś w drewnie, kolejne, nie potrzebne nikomu souvenir z Safranbolu. Ale może jednak to schodzi, ktoś to kupuje. Cisza tych bocznych, stromych uliczek wyłożonych nierównymi kamieniami polnymi, wydobywa ze zwiedzającego coś zupełnie innego, niż zabytki otoczone wianuszkiem fotografujących siebie na tle. Większy podziw nad tym co stare i już bezużyteczne.

Jeszcze lepszym miejscem pod tym względem jest Yoruk Koyu. To niewielka wioska z potężnym cmentarzem muzułmańskim. Pobieżny ogląd wyłuskał groby z XIX wieku. Zamiast 'naszych', kamiennych krzyży, są niewielkie stelle, z wypisanymi informacjami na temat leżącego pod spodem. Te opisane arabskim, są jeszcze sprzed reformy językowej Atatürka, który wprowadził w 1928, w Turcji alfabet łaćniński z wieloma znakami diakrytycznymi.

Miejscowość późnym popołudniem jest pustawa. Brak tutaj jeszcze infrastruktury turystycznej, za to jest prawdziwe życie i to pośród ciekawej, można powiedzieć zabytkowej zabudowy. Takiej z początku XX stulecia. Czasami odrestaurowanej, czasami walącej się na uliczkę, pod nogi przechodniów. Wioska musiała być bogata, skoro mieszkańców było stać na takie kamienice. Każda jedna, to potężne gospodarstwo, z wewnętrznym atrium, zabudowaniami dla zwierząt. Większość jest jeszcze używana. Stoją przed nimi leciwe Otosan 500, albo 600, takie pick-upy z wytrzeszczonymi reflektorami. Najciekawsze są okucia bram i drzwi, indywidualnie, ale według tego samego wzoru wyrabiane przez kowala koładki. Wprasowano je gwoździami w drewno wysuszone słońcem i smagane śniegiem w zimie. Drzwi do obórek zaopatrzone w drewniane zamki, wystrugane na wzór tych stalowych.

Na głównym placu babcia sprzedaje swoje wyroby. Jakieś wypchane lalki i pełno słoików, a w nich to samo, co widzimy odkąd wjechaliśmy w rejon czarnomorski, w syropowej zalewie cokolwiek, co kojarzy się z owocem. Zielone figi przyciągają najbardziej. Przed chwilą wyjechała stąd wycieczka autokarem, teraz jest pusto jak na cmentarzu w nocy. Ale pewnie zaraz przyjadą turyści indywidualni, może coś kupią. Ach gdyby tutaj sprzedawali małe krzeselka z Decathlonu, zamiast souvenirów, to byśmy coś wzięli. No ale w Amasra kupiliśmy dwa, ręczne robione wisiorki. Nie jesteśmy zupełnie bezużytecznymi turystami.

Normalność przyciąga, brak harmideru turystycznego kombajnu ośmiela, prawdziwość wiejskiego życia zaciekawia. Yoruk Koyu ma swoją atmosferę i na pewno warto tutaj spędzić trochę czasu. Być może wiele wiosek wokół ma podobną, szachulcową zabudowę. Kamienice klejone z gliny i kamienia polnego, z rzeźbionymi okiennicami. Ale w Yoruk Koyu jest tego więcej niż w innych wioskach, pewnie dlatego warto przyjechać tutaj.

Zanocowaliśmy poniżej autostrady, nad rzeką, która tak niedawno temu czyniła zniszczenia powodzią, w okolicy. Wieczorem przyjechali Ładą Samarą tutejsi. Dwóch panów z dziećmi. Rozpalili grilla, dzieci kąpały się w rzece. Panowie męczyli zażarcie jakiś temat do

późnej nocy. Dzieciaki pewnie już się pospały w Ładzie, a matki niecierpliwie wyczekiwały w domu powrotu ojców. Rano zauważyłem pozostawione śmieci na kamienistej plaży. Może ze śmieciami jest jak z koszeniem trawy przed domem, albo w mieście na skwerach. Większość krajów na świecie trawy nie kosi i nie widzi w tym nic zdrożnego. Nawet ostatnio na Bałkanach widzieliśmy w jakieś stolicy, piękne nieskoszone trawy z kwiatami polnymi, na skwerach, w centrum. Ludzi nawykłych do zachodniego porządku to nieco razi, jest tak odmienne od 'naszej' normy, że wydaje się nieprzyjemne. Coś jak brak firanek w oknach, dla naszych mam, czy babć. Może w Turcji bez troski, nieskrępowane wyrzucanie śmieci, nawet tam gdzie po jakimś czasie się wraca i znowu zasiada w przyrodzie, ich nie razi, jest normą, dla nas niepojętą. Może to my jesteśmy tak bardzo zafiksowani w swych przekonaniach i nawykach, że nie potrafimy złapać dystansu do śmiecenia w obcych krajach. Pamiętam plażę Morza Martwego w Jordanii, gdzie letnicy zasiadali wprost na wyścielanych śmieciami kamieniach, a ich dzieci bawiły się leżąc w porzuconych przez poprzedników papierach. Rozpalali grilla, chodzili się kąpać w płynnej soli, opalali się, po czym zostawiali swój wkład śmieci i odjeżdżali do Ammanu. Jordania to kraj względnie cywilizowany, a jednak mieli zupełnie dla nas niezrozumiały stosunek do śmieci. W Turcji można już spostrzec znaki przy drogach, namawiające do 'nieśmiecenia', aby nie wyrzucać odpadków z jadących autostradą samochodów. Jest więc jakiś czynnik polityczny, tam w Ankarze, który pragnie zmiany, może równania do Zachodu.

Nie jest to rewolucja, raczej pełzająca fala przyływu globalizacji. Zupełnie inaczej niż to było z reformami Atatürka, na przykład z rewolucją sartorialną w 1925, która rozpoczęła się w mieście Kastamonu, mieście do którego dojechaliśmy przed południem.

Ataturk, podobnie jak 200 lat wcześniej, car Piotr I, nie mógł znieść anachronicznego wyglądu swych poddanych i nakazał unowocześnienie wizerunku, a tym samym odejście od tradycji również religijnych. Stąd nazwa – rewolucja krawiecka. Turcy przez wiele stuleci nosili charakterystyczne czapki z frędzlem, nazywane fez. Zbieżność nazw z miastem w Maroku, pewnie nie jest przypadkowa. Podobne nakrycia, ale sporo wyższe, nosili Hetyci, właśnie w dzisiejszej Turcji, ale na długo przed najazdem plemion tureckich z centralnej Azji.

Ataturk wprowadzał szereg reform, większość z nich powiodła się i rzeczywiście przybliżyły zapyziałą Turcję na początku XX wieku ku Europie, ku szybko rozwijającemu się Zachodowi. Dziś jest legendą kultu jednostki, dla większości niepojętym, wielkim władcą. Jak to zwykle bywa w podobnych kultach, chociażby w przypadku Lenina w Rosji, wyznawcy nie potrzebują pojmować kim był dany jegomość, jak zmienił historię ich przodków i wpłynął na przyszłe pokolenia, ważny dla nich jest symbol wielkości, instancja prawie najwyższa, która daje poczucie bycia zjednoczonym w grupie, pod jedną egidą, ideologią, równych sobie w podobieństwie światopoglądu. Czym innym są kultury religijne Chrystusa, czy Maryi dziewicy jedynej? Zresztą w tym miejscu zaciera się wymiar religijny, ze świeckim, ponieważ... jak pisałem wcześniej, nie jest ważny wymiar działania, ale jego celowość. Więc na prowincji rosyjskiej, wielbi się jeszcze po dziś dzień Lenina, jak Chrystusa, bo kogoś trzeba wielbić bezsprzecznie. Ciekawymi zmianami w tej sferze obdarzył nas XXI wiek, ale to już zupełnie inny temat.

Kastamonu, do którego dojechaliśmy nowobudowaną drogą z wielkim rozmachem, przez przełęcz ponad 1400m n.p.m., jest sporym miastem, położonym w głębokiej dolinie. Mieszkańcy wierzą, że w tym miejscu istniało miasto już za czasów hetyckich, 1800 lat p.n.e. Ale pierwsze ślady życia miejskiego datuje się na czasy podbojów greckich, wtedy nazywało się Timonion.

Dziś miasto ma prawie 70 tys. mieszkańców, więc jest dość spore jak na stolice regionów Turcji środkowej i wschodniej. Nie obejrzelśmy całego, ledwie dzielnicę starych domostw i centralny plac, ale to już dało wrażenie nowoczesności i dostatku. Wdrapaliśmy się na szczyt ponad starówką, na którym odnaleźliśmy ruiny zamku, a pośród nich ledwie paru turystów tureckich. Zeszliśmy potem klucząc po stromych uliczkach, między domami, tradycyjnie dla Turcji, budowanych metodą szachulcową, z zamkniętymi podwórkami, wysokimi murami. To

też jest tradycyjne dla kultury islamskiej, gdzie życie rodzinne i gospodarskie jest silnie chronione przed oczami przyjezdnych, przechodniów, nawet współbraci. Chronione nie tylko murami zaporowymi, ale także zewnętrznym wizerunkiem szarości, nijakości, równania do średniej, ale nie biedy. Ile to razy w Iranie, albo w Azerbejdżanie, Dagestanie, czy innych krainach, odkrywaliśmy ze zdziwieniem, jaki przepych, bogactwo i uroda, kryje się w wewnętrznych podwórcach takich domostw. Przeważają w tym kraje, w których mentalność społeczna jest silnie nacechowana religijnie.

A właśnie! Poczytaliśmy sobie z Iwoną zapiski pary Anglików podróżujących w 2017 po Turcji, którzy wrócili w te same strony po dwudziestu latach. Byli zadziwieni, jak bardzo zmieniły się obyczaje na prowincji. My też to dostrzegamy. Być może działania Erdogana, który inwestuje swój potencjał polityczny w turecką religijność islamską, podobnie jak nasz 'prezes' w mentalność narodową Polaków, przynoszą skutki. Erdogan wygrał kolejne wybory, a w Turcji jakby coś się zmieniło. Ubyło sklepów i restauracji serwujących alkohol, a jego ceny poszły w górę. Nie widać już na wsi pijaków, za to prawie wszystkie kobiety noszą czador, również w europejskiej, najbardziej cywilizowanej i nowoczesnej części Turcji. Turcja tradycyjnie jest związana silną przyjaźnią z krajami arabskimi, dużo od niej bogatszymi. To także może być ukłon w stronę ich tradycji.

W Kastamonu niektóre, stare meczety popadają w ruinę, niektóre są przerabiane. Aby służyły w inny sposób społeczeństwu. Ale te główne są oblegane, pięć razy dziennie muezin nawołuje do modlitwy z ich minaretów, via kabel i głośniki, czasami z nagrania. Nie jest to tak, że jak tylko Turek usłyszy piękne śpiewy arabskie, to bieży ku meczetowi, albo przynajmniej rozkłada turecki, mały dywanik, by na nim kłaść pokłony w stronę Mekki. Ci którzy są religijni uprzedzają muezina i już są w meczecie, ale większość, z tego wrzasku niosącego się między domy miasta, nic sobie nie robi.

Najciekawszy w Kastamonu jest centralny plac z meczetem. Tam skupia się życie, nawet w środku powszedniego dnia. Nie żeby wałęsali się tutaj turyści. Wzbudzaliśmy niejakie zdziwienie naszymi aparatami. Ludzie jednak ciągle przewalają się przez rynek, załatwiają tutaj swoje interesy w kawiarniach, kupują prezenty w butikach i drogich, wykwintnych cukierniach. Wyroby cukiernicze, podobnie jak w Grecji, tak i w Turcji, są dobrem narodowym. Turcy są dumni z regionalnych modyfikacji, podstawowych produktów cukierniczych. Tutaj w Kastamonu produkuje się helawę, taki do niemożliwości słodki pył, albo puder, skupiony w małe kostki, o różnych smakach. My kupiliśmy o smaku kawowym. Po wzięciu do ust, rozsypuje się jak pyłek kwiatu rosnącego na dziewiczych łąkach islamskiego raj. Ale dużo zjeść się nie da, jest tak słodki. Nie jestem koneserem kulinarnym, moim zdaniem słodczyce tureckie, ale podobnie i greckie gliko, nie mają wyrafinowanego smaku, są raczej podobne w swej masie, chociaż wyglądają różnie. Na pewno są zbyt słodkie, aby poczuć jakikolwiek inny niuans. Coś jakby pić spirytus i doszukiwać się w nim smaku.

By jeszcze na chwilę wrócić do Kastamonu. Miasto ma swoją, niepowtarzalną atmosferę, wartą zauważenia i skonsumowania. W internetach pisze się, że to przykładowe miasto prowincjonalne. Według mnie, jest odmienne od tych jakie widzieliśmy do tej pory, być może dlatego, że nie ma tutaj turystów.

Wyruszyliśmy dalej, tym razem na południowy-wschód, w kierunku dawnej stolicy królestwa Hetytów. Im dalej na wschód, tym więcej kontroli policyjnych na drogach. Dziś zatrzymano nas pierwszy raz. Młodzieniec w stroju policjanta, próbował nas wpisać do trzymanego w rękę tableta. Zcyfrować nasz pobyt, przejazd, istnienie, tutaj na drodze, pomiędzy Kastamonu, a Ankarą. Aby pozostał ślad, zapis w przepastnych zbiorach biurokracji. Jednak kiepsko mu to wychodziło i w końcu porzucił starania, oddając nam paszporty i życząc miłej drogi.

Już się przyzwyczailiśmy do dwupasmowych, głównych dróg w Turcji. Inwestuje się tutaj bezustannie w drogownictwo. Buduje szerokie ponad potrzeby autostrady. Ach gdyby tak budowano w Europie, to by się przyjemniej jeździło. Nie zawsze asfalt jest równy, potrafi się szybko dewaluować. Można w tym zauważyć typową, azjatycką bylejakość robót budowlanych i brakoróbstwo materiałowe. Być może w Japonii jest inaczej, na pewno w stolicy Azerbejdżanu jest inaczej, ale normą budowlaną dla Turcji jest niestaranność.

W Europie, zwłaszcza w rejonie oddziaływania niemieckiej kultury, jesteśmy przyzwyczajeni do wysokiej jakości wszystkiego, co nas otacza. W Polsce, dodatkowo wymagamy od siebie samych najwyższej jakości działań i wizerunku. Inna sprawa dłaczego. W Azji, nawet tak niedalekiej jak Turcja, jest inaczej.

Odwiedzając dnia następnego ruiny wspaniałej stolicy królestwa Hetytów, zastanawialiśmy się, czy to czas tak powykręcał dawne chodniki, czy może już wtedy nie starano się zbytnio utrzymać jakości budownictwa. Hetyci byli nacją indoeuropejską, czyli tak jak dziś Słowianie. Turcy to nacje czysto azjatyckie, ze środkowej i północnej Azji, pierwotnie ludy koczownicze, które mało budowały i często się przemieszczały. Hetyci odebrali ziemie dzisiejszej środkowej Turcji innym plemionom o podobnej nazwie – Hatti, które żyły tutaj osiadłe od nieznanym nam czasów. Proces swoisty dla Azji od zarania istnienia cywilizacji, najlepiej opisany na przykładzie Ariów i Indusów.

Hetyci przybyli z północnych terenów Kaukazu, czyli dzisiejsza Czeczenia, Inguszetia, Osetia, może Kałmucja. Przybyli w XX wieku p.n.e. i w ciągu paru wieków zbudowali silne państwo, zagrażające niejednokrotnie Egiptowi i Mezopotamii. Jako naród podłej jakości, koczowniczy, niemający rozbudowanej kultury, języka pisanego, skonsolidowanych wierzeń religijnych, czyli jak to zwykle bywa z najeźdźcami z Północy, przejęli od podbitych Hetytów większość ich kultury. Używali języka Hetytów w celach religijnych i oficjalnych, na codzień jednak nadal używali swojego nesumni. Sami siebie nazywali nie Hetytami, ale Nesytami. Strasznie to pomieszane.

W każdym razie po kilku wiekach umacniania swej pozycji, zbudowali nową stolicę na miejscu już wcześniej istniejącej osady, pośród tych niczym nie wyróżniających się suchych gór środkowej Turcji. Nazwali ją Hattusa. Miasto istniało tak długo, jak Hetyci rozwijali swe królestwo. Kiedy imperium zaczęło się starzeć, jak każde jemu podobne, oklapło w siłę militarnej i padło ofiarą innych, nowych i młodszych populacji. Mniej więcej w czasach, gdy młody Budda pławił się jeszcze w luksusie bogactwa swego ojca, a Mahawira już przechodził do historii, Hetyci upadli i ich stolica także. Pozostały gruzy, które po wielu wiekach, przypadkiem odkrył w 1834 roku pewien francuski podróżnik, archeolog, a może taki protoplasta Henrego Jonesa juniora, Charles Texier. Poważnego spenetrowania, sklasyfikowania kamiennych tabliczek zapisanych pismem klinowym, dokonał jednak dopiero prawie 70 lat później, niemiecki uczoney Hugo Winckler.

Hattusa była okazałym miastem, rozłożonym na skalistych wzniesieniach, na płaskowyżu ponad 1200m n.p.m. Otaczał ją bardzo gruby, szerokości sześciu metrów, kamienny mur, o długości około dziesięciu kilometrów. Gruzy pozostałe po świetności królestwa Hetytów, można zwiedzać pieszo, pełny spacer to około 7.5 kilometra, można objechać to samochodem, po wyłożonej kostką brukową drodze. Prace archeologiczne ciągle trwają i to w wielu miejscach na raz. To co odkryto nie prezentuje się przebojowo, ale daje niejaki pogląd na wielkość miasta. Poza tym taki poranny spacer jest miły i obfituje w ładne panoramy gór. Bilety wstępu są zaskakująco niskiej ceny, ale to dość powszechne w Turcji. Nie ma podziału zwiedzających na 'naszych' i 'obcych', względem ceny biletu, jak to jest w powszechnym zwyczaju w świecie niecywilizowanym.

Dziś kamienie już tylko milczą, ale nadal potrafią zaciekać, głównie płaskorzeźbami i wizerunkami postaci, albo sfinksów. Można dotknąć starych kamieni, ale warto także zajść do muzeum we wiosce Bogazkale. Tam precyzyjnie przedstawiono sposób odczytywania pisma klinowego z kamiennych i glinianych tabliczek, zbudowano miniaturową makietę całego miasta i królewskiego kwartału w szczególności. Łatwiej też podziwiać płaskorzeźby w

pełnym rysunku, aniżeli w niewyraźnych pozostałościach w kamieniu. Warto także zajść do Yazilikaya (ten sam bilet), miejsca-świątyni, pośród skalnych zrębów. Interesujące są zwłaszcza płaskorzeźby. Można bowiem na nich studiować powiązania stylistyczne z całego regionu Azji mniejszej, z paru tysięcy lat, przed naszą erą. Tutaj wracają dygresje na temat bylejakości. Płaskorzeźby są zniszczone, ale mimo to można dostrzec brak symetrii rysunku, niedociągnięcia stylu, jakby powstawały spod ręki dziecka.

Wioska Bogazkale nie jest wcale zapyziałą dziurą, jak by się można było spodziewać po tego typu miejscu. Być może jest zacofana kulturalnie i obyczajowo, ale to centrum lokalnego, zaskakująco nowoczesnego rolnictwa. Jak wspominali angielscy podróżnicy sprzed pięciu lat, kiedyś można było pójść tutaj do baru i pić do rana z brodatymi rolnikami, dziś można tylko zjeść drogi obiad i napić się herbaty, względnie kawy. Jedno jednak jest znamienne. Podobnie jak w polskim dziś mieście Wolin, gdzie Słowianie są dumni z historii Wikingów, tak też tutaj, duma Turków z Hetytów aż tryska z pomnika na głównym placu.

Mieliśmy jeszcze w planach zwiedzenie innych ruin miast hetyckich, ale jednak nasyceni wielogodzinnym poznawaniem Hattusa, postanowiliśmy na wieczór dojechać do Amasya. Tureckiego, sporego miasta w wąskim kanionie rzeki Yesilimak. Było już po piętnastej, jak wyjeżdżaliśmy z Hattusa. Podobno można wszystko dokładnie zobaczyć w trzy godziny, nam zajęło to dwa razy więcej czasu. Pojechaliśmy na skrót, bo tak jest zawsze ciekawiej. Najpierw szutrem w góry, a potem obniżającym się aż o 800 metrów w dół, rolniczym płaskowyżem. Trwały właśnie żniwa, nowoczesne kombajny rżnęły zboża, a zupełnie nowe ciężarówki najdroższych marek Scania, Mercedes i Volvo zwoziły urobek gdzieś hen, do silosów, albo wprost na statki w portach, bo podobno przeludniona Afryka głoduje. Pamiętam jak całkiem niedawno, ledwie parę lat temu, nowych kombajnów i ciężarówek było w Turcji niewiele. Wszystko opierało się na sprzęcie produkowanym często na starych licencjach w Turcji. Zmiany, zmiany, zmiany...

Zatrzymaliśmy się gdzieś pośród tych pól, przy kolejnym źródle i kamiennej wannie do pojenia bydła. Iwona zrobiła pranie i myła włosy. Szutrową drogą podjechała nowa limuzyna BMW. Szyba opuściła się, a zza niech wyłoniła się radosna twarz niemieckiego, cywilizowanego Turka. Chciał nawiązać kontakt, bo rozpoznał w nas turystów na wakacjach. Chyba, swoją pokazową gablotą obwoził rodzinę z prowincji, bo była pełna ponad miarę ludzi. To całkiem codzienny widok. Ci Turcy którzy dorobili się dużych pieniędzy w Niemczech, Austrii, Francji, corocznie pielgrzymują całymi watahami luksusowych samochodów, autostradami Węgier, Serbii i Bułgarii. Jadą na wakacje do rodzin. Nie lecą samolotami, ale jadą, z całą tą uciążliwością kilkudniowej podróży przez tyle granic. Często widzimy te spore tabuny samochodów zmierzających do Turcji i na koniec kanikuły powracających. Po wjechaniu do ojczyzny, zbaczają z autostrad, w mniej ważne drogi, by w końcu trafić na szutry do tych małych wiosek, skąd pochodzą.

Turcja nie jest krajem biednym, ani zacofanym gospodarczo, ale nadal panuje tu tradycjonalizm społeczny. Mentalnie tkwi jeszcze w połowie XX wieku. Więzy rodzinne są niezwykle ważne dla Turków, a rodziny rozbudowane tak, że obcy tego nie ogarnie umysłem. Rodzą się nowi Turcy, nowocześni w sposobie zarabiania pieniędzy i spędzania wolnego czasu, ale jeszcze ciągle w społeczeństwie prefiguratywnym, gdzie poszanowanie starszego pokolenia, jako nośnika tradycji, wiedzy, wizerunku do naśladowania, jest ciągle ważne. Tutaj ciągle słowo ojca jest jak wyrok wyższej instancji sądu, a opowieści dziadka słucha się jak telenoweli. Tureckie społeczeństwo dopiero przechodzi w nowoczesność, może następane pokolenie będzie inne.

Tak rozmyślając podążaliśmy nowobudowaną, już główną drogą do Amasya. Stare drogi tureccy drogowcy remontują czasami dość drastyczną metodą. Nieprzyjazną zwłaszcza dla pojazdów. Najpierw leją bitumit na dziurawą nawierzchnię, potem obficie posypują to, jak cukrem pudrem tort, drobnym żwirem. Żwir się przykleja, pojazdy walczą go i wciskają w

bitumit i nowa nawierzchni gotowa. Niestety drobne kamienie strzelają spod kół samochodów we wszystkie strony i łatwo można rozbić reflektor, szybę, a co gorsza zniszczyć chłodnicę. Można jechać wolno, ale co to daje, skoro rozpędzony z przeciwka TIR, wali 90km/h. Nam na razie udaje się uniknąć awarii, ale to tylko zwiększa prawdopodobieństwo jej wystąpienia jutro, albo pojutrze.

Dojechaliśmy na późne popołudnie do Amasya. Spore miasto wciśnięte jest między skaliste, monumentalne ściany kanionu. Środkiem płynie niewielka rzeka Yesilimak. Nowoczesne miasto ma swój urok typowych górskich siedlisk, gdzie ulice wspinają się, lub stromo opadają, a flankujące je kamienice próbują przycupnąć na stromiznie, grzęznąć tyłkiem w ziemi, a frontem obnażając nogi piwnic. Jest ciasno, więc trudno znaleźć miejsce do parkowania. W tym natłoku budynków i samochodów jeżdżą jeszcze pociągi. Ponownie niezelektryfikowana linia kolejowa, przecina stare miasto i niknie w tunelu pod skałą, na której znajduje się zamek, kilkaset metrów ponad miastem. W szarym zboczach wycięto ogromne nisze, to grobowce pontyjskie. Wraz z półtunelami chodników zmierzających ku nim, pełnych turystów, prezentują się niezwykle urodziwie z poziomu starówki. Niestety nie było nam dane sprawdzić, czy równie atrakcyjnie przedstawia się miasto z perspektywy grobowców. Zamknęli je nam przed nosem, było już koło dziewiętnastej.

Za to starówka ożyła tradycyjnym, turecko-chińskim targowiskiem tandety dla turystów. Naprawdę niezwykle rzadko zdarza się, abyśmy trafili coś ładnego pośród serwowanych milionami powtórzeń, w każdym kramie, souvenirów. Tak jak w Safranbolu szafran był emblematem miasta, tutaj w Amasya jest nim jabłko dość specyficznej rasy właśnie o nazwie amasya.

Pomimo natłoku turystów tureckich i paru z Wrocławia, spacer jedyną ulicą starówki ma swój urok. Tradycyjnie budowane szachulcowo kamienice, chylą się nad przechodniami brązem zdobień drewnianych i bielą tynku ścian. Widzieliśmy także nowostawiane budowle, ale w tradycyjnym stylu. No może hybrydowym. Bo zamiast cegły, gliny, kamienia, w drewnianą konstrukcję szachulcową, wciskano na siłę nowoczesne bloczki suporexu, czy innego budulca.

Można powiedzieć, że Amasya to kolejne, prowincjonalne miasteczko, o własnym charakterze. Może to ten strzelisty kanion, może łódzie spacerowe na rzece, albo grobowce, jak wycięte w skale oczy boga, ponad miastem, a może inność ludzi. Wszak każdy region Turcji ma 'swoich' ludzi. Oni nie globalizują się tak szybko w jednolitym wizerunku jak Europejczycy, bardziej wyraziście rysują się różnice pomiędzy regionami. Spędziliśmy parę godzin nad rzeką, oglądając powszednią codzienność Amasya, stukot młotów pneumatycznych, kujących skałę pod kolejne tunele komunikacyjne, łódki z turystami, wieczorne defilady wysztafirowanej nowocześnie młodzieży, prezentujące się na chodnikach dziewczyny i chłopcy w tańcu godowym, w swych przekombinowanych samochodach. Jak nocne motyle biegną do płomienia, by skończyć jak te matrony w czadorach włóczące za rączkę swych małoletnich synków, albo matki-turki z siatami pełnymi zakupów dla całej rodziny, może jak brodaci, grubawi biznesmeni, z wiecznie rozbieganymi oczkami, przebierającymi pulchnymi paluszkami podczas niekończących się rozmów mężczyzn, przy kolejnej szklaneczce herbaty w kawiarni na rogu, a może jednak jak niepewni swej pozycji, chudzi ojcowie rodzin wielodzietnych, w starych Tofasach, starający się zarobić na kolejny miesiąc. Odwieczny obieg ludzkiej masy, zatwierdzony nieświadomymi instynktami, ale okraszony przyjemnością trwania.

Znaleźliśmy nocleg w pachnącym igliwiem, sosnowym lesie, w górach, ponad rolniczym regionem upraw pod folią. Wjechaliśmy tu stromo szutrową drogą i wypoziomowaliśmy nasz dom na zakręcie nieużywanej ścieżyny. Długo siedzieliśmy w noc, spoglądając na zachód słońca ponad bezkresną doliną, podnoszące się opary, albo dym z kominów, a potem rozbłyskujące po kolei oświetlenia wiosek i jarzące się światłem pojazdów drogi. Taka boska

perspektywa zwykle nastraja do rozmów eschatologicznych, ostatecznego rozstrzygnięcia na temat tego, co wiedzieliśmy przez ten długi dzień, wspomnień z poprzednich podróży.

Rano zjechaliśmy w dolinę dopiero po południu. Było tyle spraw do zrobienia... głównie siedzenie przy komputerze. W najbliższej wiosce wzbudziliśmy zainteresowanie tankując pod meczetem wodę do prysznica. Młodzieńcy na przystanku autobusowym wpatrywali się w nas intensywnie, ale nie śmieli podejść. Dzieciaki na rowerach miały mniej obaw utraty wizerunku i przyglądały się nam z bliska. Powoli wjeżdżamy w tereny dalekiej Turcji, gdzie turyści są rzadkością. Ale być może idea turystyki istnieje w tureckich mediach.

Na następnym noclegu, pośród osypisk żwirowych, na kamieniołomie, przyszedł do nas lokalny oligarcha rolniczy. Człowiek całkiem na poziomie, z niewielkim angielskim. Pokazał mi małe oczko wodne z krystalicznie błękitną wodą. Takie jezioro powyrobowiskowe, do którego można by wskoczyć i popływać, tylko niezgłębione czeluści mułu powstrzymują. Woda raz zmaczona z osadem na dnie, długo się klaruje. Ali, tak miał na imię nasz nowy turecki kolega, w ogóle nie zdziwił się tym, że zamierzamy nocować na, chyba jego, żwirowni. Czerpał z jeziora wodę na plantacje. Nie przejawiał zwyczajowego zainteresowania, jak my tu będziemy nocować. Przyszedł sprawdzić rury wodociągowe i przy okazji przywitał przyjezdnych. Pokazał jezioro i dość szybko, jak na azjatyckie zwyczaje, wrócił do swoich obowiązków.

Tureckie, bezkresne pola, na wysokich płaskowyżach w środkowej części kraju, są uprawiane przez prężnie działające, dość duże gospodarstwa. Nie ma tutaj rozdrobnienia rolniczego, jak we wschodniej Polsce. Większość ludności jest po prostu pracownikami na takich gospodarstwach.

Za Sivas płaskowyż przekształcił się w równinę, ale położoną na wysokości ponad 1500m n.p.m. Pola uprawne stały się bezkresne i nierozdzielone od siebie pagórkami, ani strumieniami. Wody jakby ubyło, wioski stały się bardziej dzikie, zacofane. Przejechaliśmy tak setki kilometrów, a krajobraz się nie zmieniał. Autostrada opustoszała, czasami po kilkanaście minut nie widzieliśmy innych pojazdów. Za to od czasu do czasu mijaliśmy konwoje kombajnów, które zdążyły na pola, bo czas żniw. Za nimi podążały ciężarówki i traktory z przyczepami na zboże.

Wczesnym popołudniem zajechaliśmy do sporego miasta Tokat. Zostało założone jeszcze przez Hetytów i nazwane Eudokia, albo Eudoxia. Ciekawa zbieżność słów z imieniem siostry Raskolnikowa – Awdotia. Za czasów podbojów Greckich było to Dokeia. Dziś Tokat jest znane z produkcji dziewiarskiej i miedzi. Rozłożone jest na pofalowanych połoninach, nie jest tak ściśnięte jak Amasya, raczej charakteryzuje się dowolną ilością miejsc. Aczkolwiek centrum jest zapchane samochodami, wprowadzono nawet parkometry. Główna ulica handlowa, aż kipi od drogich sklepów i jadłodajni. Chodniki są pełne mieszkańców załatwiających swoje sprawy i biesiadujących w restauracjach. Miasto żyje pełną parą. Jest nowoczesne i rozpędzone w tempie intensywnego biznesu.

Warto tutaj wpaść by zobaczyć wieżę zegarową z działającym wciąż zegarem, którego cyferblat jest opisany arabskimi cyframi, dziś używanymi na półwyspie Arabskim. Każdy chyba wie, że arabskie cyfry to my używamy, a oni je zaimportowali z Indii. Ale dziś Arabowie używają innych, przypominających stylizowane pismo klinowe.

Tuż za wieżą zegarową, w odrestaurowanej, zabytkowej willi, jest siedziba derwiszy. Można tu wstąpić i poczytać nieco o historii tego ruchu. Wiele z opisów jest po angielsku. Bractwo Derwiszy charakteryzuje się mistycyzmem islamskim. Wiele podobnych grup zaczęło powstawać w XI w. w oparciu o ideologię suficką. Często byli kojarzeni z wędrownymi, żebrzącymi ascetami, mnichami islamskimi, czasami nazywanymi fakirami. W powieści Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy”, pojawiają się jako bojownicy z sudańskiego powstania Mahdiego. Zakon Mewlewitów, czyli tańczących Derwiszy, został jednak założony w 1273 roku, w Iranie, przez islamskiego poetę i mistyka – Rumiego. Specjalnością tego zakonu, wyróżniającą ją z pośród innych, był wirujący taniec jego członków. W tym ruchu mieli

naśladować wirowanie ciał niebieskich, który to ruch pobudza duszę człowieka do miłości do boga. Rumi pozostawił Derwiszom po sobie zbiór aforyzmów i sentencji moralno-filozoficznych, przetykanych sentencjami Mahometa i zaczerpniętymi z Koranu tekstami. Zmarł tuż po założeniu zakonu i uznano go za świętego, co właściwie jest sprzeczne z rygorystyczną doktryną Koranu. Wcześniej Rumi wsławił się dość swobodną interpretacją Koranu, co spotykało się z jawną i agresywną krytyką wielu ortodoksyjnych teologów.

W języku perskim derwisz znaczy – ubogi, lub żebrak. Na początku powstało kilka zakonów derwiszów, każdy z nich wsławił się innym elementem charakterystycznym. Na przykład zakon Rifajja, od imienia swego założyciela, wsławił się publicznymi pokazami, w których członkowie bractwa połykali rozżarzone węgle, szkło, kaleczyli się nożami i głosili jakoby posiadali cudowne możliwości uzdrawiania chorych. Inny zakon, zwany Bektaszami z Turcji, przyjmował do swego bractwa kobiety. Organizowali uczty o charakterze sakralnym, uprawiali mistycyzm pisma arabskiego, dziś nazwalibyśmy to literologią. Dokonali także próby połączenia doktryn islamskiej i chrześcijańskiej. Zakon Quadirija z Iraku wsławił się bardzo ortodoksyjną formą islamu, według której żyli jego członkowie. Istnieje także zakon Marabutów w Afryce. Podobno było lub nadal istnieje ponad 30 zakonów Derwiszów. Wiele z nich istnieje do dziś, najłatwiej można ich członków spotkać w syryjskim Aleppo.

Derwisze kładą duży nacisk na wspólną modlitwę, podczas której recytuje się imiona Allacha. To coś w rodzaju litanii. Sznur modlitewny derwiszów ma 92 paciorki i służy właśnie do odprawiania podobnych litanii.

W każdym razie wszystkie zakony Derwiszy wyrosły na doktrynach sufizmu, czyli swego rodzaju filozofii ludowej, lub intelektualnej, opartej o neoplatonizm, częściowo o filozofię chrześcijańską, hinduistyczną, a nawet buddyjską. Przedstawiali boga, jako jedyne źródło powstawania rzeczywistości ziemskiej, za co byli prześladowani przez pozostałe odłamy islamu.

Pierwsze bractwa Sufich powstawały już w VIII wieku, czyli na samym początku istnienia islamu. W 922 roku skazano na śmierć pierwszego Sufiego, ale sufizm rozwijał się nadal i trwał na stanowisku budowania innej twarzy islamu, który odwiecznie był kojarzony z religią prawa i rozumu, być może z tego powodu, że Mahomet był raczej administratorem i idealnym władcą, a nie przywódcą duchowym. Sufi próbowali odnaleźć w islamie religię serca, duchowości, uczuć i wyobraźni. Niestety nigdy nie doszło do połączenia tych dwóch, skrajnych doktryn.

Ostatnią rzeczą, dla której warto pchać się w zakorkowane centrum Tokat, to kamienny caravanserai. Dziś jest centralnym domem handlowym, na którego podwórku zlokalizowano małą gastronomię i kawiarnię. Obiekt nie jest tak duży jak nowoczesne hipermarkety, ale ma za to swoistą atmosferę, połączenia starożytnej funkcji z nowoczesnością. Zwykle takie caravanseraie były warownymi blokhauzami dwukondygnacyjnymi. Budowano je w bogatych królestwach. Dla przykładu w Azji centralnej jest tylko jeden kamienny caravanserai, reszta była drewniana, lub ulepiona z gliny i nie przetrwała do dzisiejszych czasów.

Caravanseraie pełniły ważną rolę na szlakach handlowych, dziś nazywanych jedwabnym szlakiem. W samej Turcji, rozległym państwie, karawany przewoziły dobra dla kupców z jednego końca kraju do drugiego. Do dziś ciężarówki kursują pomiędzy regionami specjalizującymi się w tylko pojedynczych dziedzinach. A to szafran z Safranbolu, a to jabłka z Amasya, a to morele z Malatya, suszone ryby znad morza, itd. Dziś TIRy, kiedyś karawany wielbłądów. Kolej słabo się przyjęła w Turcji, bo teren niezwykle górzysty.

Caravanserai w Tokat przekształcono, jak stary browar w Poznaniu, w centrum handlowe niewielkich rozmiarów. Wchodzi się tylko przez jedno wejście. Tak kiedyś było bezpieczniej chronić towary deponowane w podobnych instytucjach. Wejścia bronią do dziś używane wielkie wrota drewniane, obite blachą. Blacha jest pradawna, bo kuta jeszcze młotem kowalskim, a nie wytwarzana w walcowni stali. Do dziś, codziennie są zamykane wieczorem i otwierane rano.

Budynek nie posiada właściwie okien, bo tak bezpieczniej. Tworzy podłużny sześcian, ze sporym podwórzem wewnątrz. Ściany to magazyny, na dwóch kondygnacjach, z galerią podtrzymywaną kolumnadą. Dziś magazyny to sklepy, a podwórze to restauracje. Przychodzą tutaj tacy sami ludzie jak w Poznaniu do Starego Browaru. Tutaj wypada umówić się na obiad, tutaj powinno się kupować i pokazać światu swe istnienie.

W Tokat jest jeszcze muzeum okazałych rozmiarów i remontowany zamek na szczycie ponad miastem, tradycyjnie, jak to w Turcji. Jest stara medresa z fikuśnymi świetlikami w dachu, czyli szkoła koraniczna, niegdysiejsze centrum kultury i nauki. Poza tym stare bazyry i tutejsi ludzie, jacyś bardziej wysmukli niż Turcy z zachodu, powłóczyści w ruchach, powściągliwi w gestach. Odniosłem wrażenie, że nam się przyglądają. Pewnie się wyróżniamy. Stary facet w krótkich spodenkach i kobieta w dziewczęcej sukience. Ale te spojrzenia Tokatczyków nie są agresywne, jak było można spodziewać się po islamskich doktrynalistach. Raczej ciekawe i gotowe do serdecznej rozmowy. Niestety nie jesteśmy wyposażeni w turecki.

W drodze do tureckiej Mekki turystycznej – Nemrut Dagi, przebijaliśmy się przez nieogarnięte wielkością sady morelowe, by na skróty dotrzeć do Battalgazi, tureckiej stolicy morelowej. To znaczy dziś stolicą jest nowe Battalgazi, czyli spore miasto Malatya. Ale stare Battalgazi ma jeszcze coś z dawnych czasów, to znaczy resztki murów obronnych, stary caravanserai, parę starych minaretów, no i teoretycznie jest to miejsce turystyczne. Sądząc po tablicach informacyjnych, nowoczesnych rzeźbach tematycznych, wystawce w podcieniach caravanseraiu, to chyba kiedyś Battalgazi było całkiem turystyczne. Ale jak to codziennie zauważamy, przemysł turystyczny w Turcji, poza wybrzeżami mórz, jest w odwrocie.

Battalgazi jest miasteczkiem rolniczym, takim miejscem gdzie gospodarze sadów mogą się zaopatrywać i sprzedawać swój towar, spędzać wieczory na niekończących się rozmowach przy herbacie, gdzie gospodynie robią zakupy. Atmosfera starożytności miasta dawno już się ulotniła z tego miejsca. Zastąpił ją handel i codzienność spraw do załatwienia.

Ciekawostką jest wystawka dydaktyczna w podcieniach frontowej ściany caravanseraiu. Normalnie były tu zlokalizowane sklepy, lub usługi. Teraz każdą niszę oddano we władanie manekinom, mającym obrazować dawne, często już zapomniane zawody tutejszych rzemieślników. A to kowal, a to szewc, garncarz, rymarz, itd. Manekiny reagują na przechodniów startem silników elektrycznych, wspomagających wrażenie ożywienia tych scenek rodzajowych. Dla milusińskich dydaktyka w sam raz. Dla dorosłych restauracje wewnątrz caravanseraiu.

Te poruszające się manekiny to specjalność turecka, jak bakława, autostrady w górach, derwisze i podesty z przezroczystą podłogą wysunięte ponad przepaść dla zwiedzających.

Z północy, od Malatya, są właściwie trzy drogi do Nemrut Dagi. Dwie główne, znane i opisane w internecie. Jedna, odnowiona parę lat temu, wiedzie na szczyt Nemrut od wschodu i można nią właściwie dojechać pod sam czubek, usypany około 2000 lat temu ze żwiru, na wysokość około 2150m n.p.m. Druga, ta najważniejsza dla zwiedzających cały kompleks antycznych mostów, świątyń i szczytu Nemrut, to droga główna zdążająca od zachodu.

Wtedy najpierw natrafiamy na ogromny, chyba największy jaki widziałem, most rzymski. Rzucony ponad niemrawą rzeczułką Cendere Cai, u jej ujścia z monumentalnego kanionu. Zwykle już tak jest, że te antyczne mosty, być może z powodu upływu czasu, wydają się istnieć nie w tym miejscu co powinny, a wydatek sił i środków na ich zbudowanie, jakby został zmarnowany. Zresztą podobnie jest też z polskimi Stańczykami.

Most Septymiusza Sewera skupia w weekendy ogromne masy piknikujących wokół niego ludzi. Rzeka jest szerokim korytem kamieni, po środku którego, leniwie płynie krystalicznej wody strumień. Południowa Turcja w sierpniu, to upały grubo ponad 40st.C w cieniu. Korzystanie z każdej okazji by się ochłodzić w górskim strumieniu, jest wręcz obowiązkowe.

Im bliżej popołudnia, tym bardziej rośnie zaludnienie brzegów Cendere. W końcu pewnie więcej jest tu ludzi niż kamieni, a hałas w kanionie, który daje cień, jest kakofonią przeciw pięknej naturze tego miejsca. Drugi cień, to nowy, betonowy most nad rzeką. Tam także skupiają się samochody, grille i rozwrzeszczane rodziny tureckie. Dzieci krzyczą, bo taka ich natura ekspresji emocji, a dorośli krzyczą do siebie, bo taki jest poziom kultury osobistej na prowincji tureckiej.

Zważywszy ilość ludzi jaka tu przyjeżdża w wolne od pracy dni, zaskakuje mała ilość śmieci. Być może są sprzątane przez odpowiednie służby. Pojedynczy człowiek zachowuje się odmiennie. Rzadziej śmieci, nie wrzeszczy w niebo, bo nie ma ku temu odpowiedniej przyczyny. Ale tłum rządzi się swoimi prawami. W takim miejscu można dowodzić tezy Freuda – „zbiorowość przejawia skłonność do przekraczania wszelkich barier w uzewnętrznianiu uczuć i do odprowadzania ich w działanie”. Dziś nauka o ‘tłumie’ to powszechnie używana i wielka dziedzina.

Jadąc dalej ‘właściwą’ drogą zwiedzania kompleksu Nemrut, natrafiamy na z lekka odbudowane ruiny zamku z XIII wieku, zamku Yeni Kale, we wiosce Eski Kahta. Kiedyś w tym miejscu stała warowna siedziba antycznej Arsamei, jakieś 43 wieki wcześniej. Potem stał tam pałac władców Kommageny. Dziś, obok parkingu podzamkowego i tablic sponsorów jego powstania, czyli również Unii Europejskiej, można zejść do kawiarni Rome, aby skosztować lokalnego specjału na gardło i ogólnie na przeziębienie. Nawet jeśliś akurat jest zdrowym, to nie zaszkodzi profilaktycznie napić się kawy z pistacji. Pan restaurator obficie, od serca nawali pół filiżanki sproszkowanych orzeszków pistacji i zaleje to gorącym mlekiem, oraz wodą. Smak jest egzotyczny, godny zapamiętania. Łatwiej to czynić, kiedy zakupi się od właściciela restauracji kilogram tego specyfiku na gardło, by w zimowe wieczory, raczyć nim swych gości w domu, w Polsce.

Zwiedzanie zamku w południe, w sierpniu nie jest odpowiednim zajęciem dla białego turysty. Ale czasami nie ma wyjścia. Zamek jest dostępny za darmo. Rozciągają się z jego murów piękne widoki, również na pobliską rzeczulkę Kahtacay, która przyciąga swym chłodem w równie pięknym, co głębokim kanionie. Niegdyś istniały schody z zamku, wprost do maleńkiej plaży nad rzeką, pośród skał. Dziś są zrujnowane.

Zażycie ochłody pod antycznym mostem Seldżuków, w Kahtacay, to kolejny punkt zwiedzania. Lepiej to czynić wczesną porą popołudniową, zanim zjawią się tu tureckie tłumy rodzin. Dalej należy kierować się na wschód, wybrukowaną kostką, stromą drogą, aż na parking pod Arsemeia. Tam również jest restauracja, do skorzystania z jej usług, namolnie będziemy namawiani przez mera pobliskiej wsi, pod zamkiem. Jeśliś wypił jedną kawę z pistacji, nie zaszkodzi następna. Pan mer na pewno taką sentencję wygłosi wprost do twego ucha. Namolność okolicznych pracowników przemysłu turystycznego przekracza granice europejskiej wyobraźni. Ale nerwy studzą pasterze, którzy zachodzą tutaj, by posiedzieć w cieniu. Czasami zaintonują piękne pieśni kurdyjskie. Warto posłuchać i napić się z nimi choćby herbaty. Tak, to już tereny dawnego państwa Kurdów, dziś rozebranego na części, przez okoliczne narody.

Arsemeia nad Nymphaio to już zupełnie inny wymiar zabytkowości antycznej, która skłania do zastanowienia nad imperatywem zwiedzania w ogóle. Nazwa pochodzi od imienia ormiańskiego króla Arsamesa, który w około 260 roku p.n.e. walczył w wojnach syryjskich. To on założył królestwo Kommageny. Długo później, syn Mitrydatesa, niejaki Antioch I Theos Dikajos Epifanes Filoromajos Filhellen, władał królestwem od 70 do 38 roku p.n.e. W tym czasie wpadł na pewną ekscentryczną ideę, zapragnął uzewnętrznić skrywaną dotąd potrzebę ekshibicjonizmu i megalomanii. Jego ojciec i dziad tak dobrze ustawił tryby polityczne królestwa, że syn mógł pławić się w gnuśności, z której rodziły mu się błazeńskie pomysły.

Zgodnie z tezą dr Belloq’a z filmu „Indiana Jones”, którą zobrazował prostym przykładem – „jakby zakopać zegarek, tu na pustyni, to po dwóch tysiącach lat, byłby bezcenny” – tyle

jest warta archeologia... A więc zgodnie z tą tezą, nawet kuriozalne pomysły imć Antiocha, króla Kommageny, są dziś warte majątek... przynajmniej turystyczny.

Znany dwadzieścia wieków temu fanfaron, postanowił wystawić sobie za życia mnóstwo rzeźb z własnym wizerunkiem. To by nie było jeszcze takie ekscentryczne, więc postanowił obrazować siebie wraz ze swoimi braćmi, rodziną, jak ich nazywał, czyli wszelakimi bogami, bóstwami, półbogami, jacy istnieli jemu współcześnie, w religijnych ideologiach różnych narodów, od Rzymu, po Persję, a może i dalej.

Tak więc w Arsemei możemy podziwiać resztki, ale także niektóre doskonale zachowane płaskorzeźby, na których król Antioch wita się podając rękę, na przykład, gołemu jak święty Turecki, Heraklesowi. Półbóg obdarzony nadludzką siłą jest nagi, bo tak przedstawiali go antyczni piewcy i rzeźbiarze. Ale król jest odziany w odświętny przyodziewek, chyba dla kontrastu i hecy, być może jednak ze wstydu.

Najciekawsze w Arsemei nie są płaskorzeźby, ale grobowce, albo podziemne chodniki, niewiadomego przeznaczenia. Z jednej strony dają niezwykły latem chłód, ale także zaciekawiają swą przepastną głębią i jakimś magnetyzmem tajemnicy. Jako żywo przypominają grobowiec czarnoksiężnika z Angmaru. Jeśli komuś dane było oglądać odpowiedni film hollywoodzki. Ta nieodgadniona czeluść ciemności, tajemnica nienazwanego przeznaczenia, głuchość dźwięków, zimno czerni, nastroja wyobraźnię do czynienia najprzeróżniejszych wycieczek w niezgłębione pokłady skojarzeń i przecuć pełnych obaw. Jest taka godzina, kiedy ponad stopiędziećmiometrowy chodnik, stromo schodzący wielkimi stopniami w głąb góry, napęlnia się światłem aż do samego dna. Można jednym spojrzeniem dostrzec koniec wędrówki w ten antyczny krater. Wyobraźnia podpowiada pomysły na kod dostępu do góry - tylko w ten jeden dzień w roku, a może tysiąclecia, kiedy słońce wpada przez lufcik w sam głąb góry, wtedy odnajdziesz odpowiedź na swe pytanie...

Prawdopodobnie wytłumaczenie istnienia tych dziur w skale jest równie banalne, co rzeźby króla. Ale ta odrobina tajemnicy zapewnia przyjemniejsze zwiedzanie.

Dalsza wędrówka turysty to około piętnaście kilometrów wspinaczki, stromą, nową drogą, wyłożoną kostką, do visitors center, pod szczytem Nemrut. W upale, nawet wyłączenie klimatyzacji niewiele pomaga silnikowi wtaszczyć parę ton na prawie 2000m n.p.m. Myśmy jechali większość na pierwszym biegu, by silnik się nie zagotował.

Unia Europejska zapewniła niejaki standardy i odpowiednie środki, na przebudowę infrastruktury turystycznej kompleksu Nemrut Dagi, więc visitors center prezentuje się dość europejsko. Z jakością wykonania nie jest dobrze, ale jeśli nie wnika się w szczegóły, może być przyjemnie.

Sama nazwa Nemrut, pochodzi z dawniejszych czasów, jeszcze z Mezopotamii, czyli 30 wieków przed królem Antiochem, od słynnego myśliwego, opiewanego w legendach, powielanych w kolejnych wersjach, w kolejnych księgach, myśliwego i władcy – Nemroda. Góra Nemrut jest jednym z najwyższych szczytów pasma Antytauru w południowej Turcji.

Na wysokości 1900m n.p.m., możemy zjeść, kupić souveniry, te same co na dole, pod zamkiem, ale drożej, możemy skorzystać z czystej toalety i kupić niedrogie bilety wstępu. Normalnie ostatnie 1490 metrów powinien nas dowieźć busik, ale busik zaniemógł, więc po staremu, jak dawniej, trzeba podjechać na około 2050m n.p.m. swoim samochodem, lub wpełznąć tam pieszo. Tam jest stromy, wielki parking, z którego należy jeszcze podejść około sto metrów w górę pod sam szczyt. Jak wspominałem, ze wschodniej strony, można podjechać, po uprzednim zakupieniu biletów.

Co takiego jest na szczycie, że wałą tu codziennie tłumy turystów i zapełniają wielki parking po brzegi? Ano dalsze i większe eksponaty z bestiarium króla Antiocha. Trochę zniszczone, podobno przez trzęsienie ziemi. Od wschodniej i zachodniej strony szczytu, król nakazał zbudować tarasy, na których ustawić polecił posągi. Tutaj już nie spoufalął się z bogami, jedynie obsadził się nimi, jakby lokował się wespół na jakimś wyobrażonym panteonie, na tureckim Olimpie. Do tego obstałował kilkanaście stelli z odpowiednimi inskrypcjami, by służyły potomnym za wyjaśnienie królewskiej inscenizacji.

Posągi w większości stoją po dziś dzień, pospadały im jedynie głowy z barków. Idea króla by przetrwać wieki w obrazie z kamienia, powiodła się znakomicie. Posągi skrzętnie odkopano, przyporządkowano odpowiednim korpusom i ustawiono naprzeciw, opatrując odpowiednimi tabliczkami. A wszystko to w duchu – „jakby ten zegarek tu zakopać na dwa tysiące lat, to...”.

Ponad prawdopodobnie płaskim szczytem Nemrut, król rozkazał usypać ponad pięćdziesięciometrowy, żwirowy czubek, chyba dla lepszej kompozycji estetycznej. Przynajmniej dzisiejszym znawcom tematu, tak się zdaje. Pracy wymagało to wiele, ale jak wspominałem, królestwo Kommageny było bogate i w pełni sił.

Wspaniałe panoramy roztaczające się wokół, na cały maszyn górski i wybrzeża zalewu, jaki powstał po wybudowaniu zapory Ataturka, nastrajają romantycznie i refleksyjnie. Turystów zachęca się, aby odwiedzali to miejsce o wschodzie, lub o zachodzie słońca. Być może z powodu niższej temperatury w sierpniu, być może dlatego, że wówczas kolory są bardziej turystyczne, czy lepsze do dobrych zdjęć, tego nie jestem pewien. Ciżba turystyczna, wiedzona brakiem własnego pomysłu na zwiedzanie Turcji, przybywa gromadnie w miejsca, do których odwiedzenia jest agitowana. Zwłaszcza tłumnie w porach odwiedzin, czyli o wschodzie i zachodzie słońca.

My nie wybraliśmy żadnej z tych dwóch dróg dojazdowych do kompleksu Nemrut Dagi. Jak należało się tego spodziewać, całkiem spontanicznie i bezwiednie, wybrałem drogę trzecią, której istnienia niespodziewali się najstarsi twórcy internetowych i papierowych wydań przewodników po Turcji. Pojechalśmy wprost, najkrótszą drogą przez góry. Asfaltowa, wąska ścieżka prowadziła nas długo, o wiele dłużej niżby to zrobiła główna droga wokół. Mogliśmy w ten sposób podziwiać nieco widoków gór i poznać kilka wiosek pasterskich i rolniczych. W końcu jednak dojechalśmy pod most Cendere Kuprusu.

Nocowaliśmy wysoko w górach i dopiero rano zjechalśmy pod most. Ale zwiedzanie + chłodzenie się w rzekach kompleksu Nemrut Dagi, zajęło nam prawie cały dzień. Zgodnie z przewidywaniami, spotkaliśmy tutaj kilkoro turystów zagranicznych, w tym dwa kampery z Polski. Postanowiliśmy pozostać pod visitors center na noc. Jest tam dogodny i darmowy parking, tuż przy klifie z pięknym widokiem. Dzięki temu mogliśmy być świadkami pewnego zdarzenia przy bramie wjazdowej.

Tuż przed zachodem słońca, przez bramę nie zostały przepuszczone dwie limuzyny z tureckimi turystami. Widok nowych limuzyn, to tutaj normalne, ale sprzeczka pod bramą nabierała krwistości, kiedy się nią zainteresowaliśmy. Dopytywani później pracownicy visitors center, jakoś nie chcieli nam wyjaśnić o co poszło, a było mocno, bo doszło do rękoczynów, a nawet próby wzajemnego się kamienowania. Kobiety, które z początku piskliwymi krzykami zachęcały swych chłopów do walki, później robiły za enzym hamujący i może tylko dzięki nim, prawdziwa krew nie lała się strumieniami.

Iwona dowodziła swej tezy, że turecka prowincja jest silnie nacechowana skrywanymi emocjami, narodowymi zadramami między Turkami a Kurdami. Nienawistnymi, wielowarstwowymi pokładami zaszłości, które tylko czekają na iskrę by wybuchnąć. Być może poszło tylko o zakaz wjazdu po zachodzie słońca, a przyjezdni z zachodniej Turcji, wykrzykiwali że jechali tak daleko i nie będą teraz zawracać pod bramą. W każdym razie drucianej, lichej bramy strzegli jak Ordon swej reduty, wszyscy chyba pracownicy visitors center, nie tylko strażnicy. Przyszli z odsieczą nawet kuchciki i dziadek klozetowy. Najwięcej było krzyku, machania rękami i prężenia kogucich mięśni. Ale wieczorem, długo po zajściu, przyjechali żandarmi i karetka pogotowia. Spisywali protokoły i przyklepali plasterki na zranioną dumę Turków. Zwykli ludzie z miasta, modnie ubrani, nowocześni i bogaci, kontra pracownicy turystycznego przemysłu z prowincji, a takie emocje.

Wieczór na klifie, w ścisku kamperów, z butelką całkiem dobrego, tureckiego wina, nastroił mnie filozoficznie do Nemrut Dagi. Przelotnie przemknęła myśl, aby rzucić to całe

podróżowanie i po prostu wyjechać w Bieszczady, zbudować fabrykę prawdziwej czekolady dla hipsterów i żyć pełnią zadowolenia z siebie. Ale bardziej skupiłem się na myśli wokół turystycznego fenomenu Nemrut Dagi.

Wychylałem kolejne, plastikowe kieliszki wina zmieszanego z lodowatą wodą i zastanawiałem się nad istotą popędu, jaki przymusza normalnych ludzi z europejskich miast, ba... całe rodziny, by nie szczydzić środków i sił, i w tym upale wjeżdżali w dobie drogiego paliwa, potem wspinali się oblewani potem, na szczyt Nemrut, aby w końcu wieńczyć swe wakacyjne dzieło powtarzalnymi do znudzenia fotkami zachodu/wschodu słońca do wyboru. No i jeszcze osobna masa zdjęć typu – moja głowa i głowa króla Antiocha w tle. Co zmusza tych rozsądnych ludzi do czynienia takich brewerii?

Wszak Nemrut Dagi nie jest żadnym obiektem o znaczeniu historycznym, a nawet kulturalnym. Tylko czy to ma jakieś znaczenie dla turysty? Nie pielgrzymuje się do ruin Hattusy, a tam jest prawdziwa historia, a nie performance jakiegoś znudzonego beczynnością króla sprzed dwóch tysięcy lat. Przyjeżdża się na Nemrut Dagi, bo tu jest ładniejsza okolica, szczyt góry do zdobycia i ekscentryczne rzeźby do sfotografowania. Być może za dwa tysiące lat, turyści będą odwiedzać miejsce urodzin Zenka Martyniuka, bo historycznie rzecz ujmując wielkim Polakiem był i na dodatek związanym z szeroką kulturą. Zwłaszcza jeśli urodził się na szczycie góry, w malowniczej scenerii.

Jak wielka jest hipokryzja ruchu turystycznego, pojąć można, kiedy odpowiemy sobie na istotne pytanie – dlaczego? Turystyka nie kieruje się racjonalnymi pobudkami w doborze destynacji, jeśli patrzymy od strony istoty tych destynacji. Ale jeśli spojrzymy od strony potrzeb, jakie każdy, standaryzowany turysta mieć powinien, to odwiedzanie takich Nemrut Dagi staje się oczywiste. Wszak takie miejsca zaspokajają wszelkie ambicje turysty. Jest ładnie, jest kultowo, jest modnie, jest odpowiednio trudno, by poczuć satysfakcję z dotarcia do celu, jest orientalnie, jest dramatycznie i romantycznie, tutaj wypada być, jak piszą przewodniki, tutaj będziemy zauważeni, będziemy podziwiani i być podziwianymi, trafić tutaj to znaczy nie tracić czasu i wysiłku na znajdywanie czegoś innego, być tutaj to znaczy ocierać się o Kulturę, przez duże 'K'. Takie miejsca w pełni zaspokajają potrzeby turysty i to jest piękne. Bo te potrzeby są nieskażone egzaltacją i hipokryzją, są bezpośrednie, może nieświadomione, ale własne, nie wymuszone. Jakże naturalnie turysta wie czego chce i dąży do celu tej idei.

Dla porównania turysta skażony zadzieraniem nosa i poszukiwaniem czegoś z wyższej półki, prawdziwej kultury i historii, prawdziwego życia kraju jaki odwiedza, a nie miejsc skomponowanych i odmalowanych na potrzeby jego przybycia. Mówi się o takim... on sam o sobie pieje – podróżnik. Bo poszukuje prawdy, a nie blichtru nowoczesnego świata, nie dotknie przygotowanego dania, sam musi sobie je skomponować. Czy taki turysta/podróżnik jest bardziej naturalną formą konstruktów, wynikłego z idiotycznej mody na poznawanie świata? Na pewno trudniej go zaspokoić, trudniej sam osiąga satysfakcję z osiągniętych celów. Częściej jest zawiedzony 'nieprawdowością' doznań, bo czasami przypadkowo trafia na Nemrut Dagi. Częściej popada w irytację, kiedy wyasfaltują mu drogę do Teth w Albanii. Częściej czuje się wyobcowany, inny, nienaturalny, niezrozumiany, w świecie, gdzie tacy jak on stanowią promil, promila turystycznej populacji.

Jest jeszcze trzecia strona medalu. Odpowiedź na pytanie – co daje zwiedzanie, nawet tych 'prawdziwych' stanowisk archeologicznych, tych prawdziwych wiosek, gdzie autochtoni wybałuszają gały na turystę, bo takiej osobliwości jeszcze w życiu nie widzieli. Czy odwiedzenie tych miejsc da coś więcej niż poczytanie o nich? Przecież często więcej jest w książkach, niż do spostrzeżenia w rzeczywistości. Czy pomazanie palcem po stolcu, na którym zasiadał cesarz, da coś więcej niż zobaczenie go w trójwymiarowym zdjęciu w necie? Gdzie jest prawdziwa zasadność zwiedzania i związanego z tym nieodłącznie przemieszczania się? Może w imperatywie samospelnienia się, w poszukiwaniu celu i jego realizacji. Nie ważne jaką metodą, ale na pewno dla siebie samego.

Ludzie w podróży czegoś szukają i częściej tego czegoś w sobie, niż tam gdzie jadą. Tak jakby zmiana otoczenia miała automatycznie wywołać zmianę wewnętrzną. Jak pojedziemy na słoneczną plażę to z automatu będzie nam radośnie. Czasem tak jest, ale czasem podróż tylko obnaża problemy jakie mamy i nic nie rozwiązuje, a jeszcze bardziej wpędza w depresję bo miała uleczyć, a tego nie zrobiła, więc znikła nadzieja, że będzie lepiej. Przed podróżą może było źle, ale była nadzieja, że jak gdzieś pojedziemy to wszystko się samo naprawi. Teraz nadal jest tak samo źle i nadziei też nie ma.

Często wiele osób ma wysokie oczekiwania co do skutków podróży, bo jakby nie było jest to kłopot i wysiłek. Wydaje się pieniądze, człowiek się często męczy, naraża na niebezpieczeństwo, a co najmniej na niewygodę. Skoro zaś już przez to wszystko świadomie i na własne życzenie przeszliśmy, to następuje racjonalizacja działania - skoro tyle zainwestowaliśmy to musiało być super, bo inaczej wyszlibyśmy na frajerów co się namęczyli, wydali worek pieniędzy i są niezadowoleni z podróży.

Niespiesząc się, następnego dnia, tuż przed południem, jak tylko słońce stało się nie do zniesienia, zjechaliśmy ze stoków góry Nemrut, wprost w upał dolin. Dziś jednak nie było tak gorąco jak wczoraj, ledwie 38st.C. W drodze na tamę Ataturka, odwiedziliśmy jeszcze Karakus Tumulus, kolejne miejsce wychwalające i upamiętniające dawnych władców. To sztucznie usypany, około 35 metrów wysokości, kopiec z kamieni rzecznych. Nazwa to „czarny ptak” w tłumaczeniu. Kopiec otaczały niegdyś dziewięciometrowej wysokości kolumny, w liczbie dziewięć sztuk. Nie wszystkie dotrwały do naszych czasów, a te którym to się udało, wyglądają jakby stoczyły zażartą walkę z czasem. Archeolodzy odnaleźli inskrypcję na jednej z kolumn, która tłumaczy potomnym sens powstania kopca – „To jest hierothesion należące do Isias, którą wielki król Mitrydates (była ona jego własną matką) [...] uznał za godną w tej ostatniej godzinie...”. Hierothesion ze starożytnej greki to 'święta siedziba'. Tak więc kopiec jest grobowcem, a kolumny go otaczające miały słać chwałę tych, którzy pod nim leżą na wieki.

Dalej, w najbliższym mieście Kahta uzupełniliśmy zapasy, w tym wino, w sklepie tekel. Tak po turecku oznacza się sklepy monopolowe. Ceny jak w Norwegii. Dalej pojechaliśmy w niskie, łyse jak kolano pagórki, aż do zapory na Eufracie, którą wybudowano na początku lat '90-tych. Krystalicznie niebieska woda zatrzymywana jest przez tamę ponad 160 metrowej wysokości. Ale można ją podziwiać jedynie z daleka, z tarasu restauracji. Podjazd do temu podobnych instalacji rządowych, w Turcji jest reglamentowany bardziej niż w Rosji.

Niebieskie wody czystego Eufratu, porastają zielone i turkusowe rośliny na dnie. W ostrym słońcu pięknie to wygląda i przypomina nam Eufrat z Syrii, który odwiedziliśmy tuż przy granicy irackiej kilka razy. Niedaleko jest Mari, ważne stanowisko archeologiczne, które zostało poważnie ograbione ze znalezisk przez europejskich odkrywców, a artefakty przewiezione do znamienitych muzeów w Paryżu i Berlinie. Pozostały hangary kryte blachą falistą, a pod nimi wykopane dziury i rowy, jakby pod fundamenty jakiejś budowli.

Nieco odmiennie jest w przypadku Gobekli Tepe, stanowiska archeologicznego z lat '90-tych. Dziś narody europejskie inaczej traktują narody innych kontynentów. Dawny i powszechny rasizm, z przełomu wieków XIX i XX, zastąpiło niejaki zaufanie. Dziś archeolodzy szkoleni są także w Turcji i im powierza się pieczę nad znaleziskami typu Gobekli Tepe.

Stanowisko znajduje się powyżej miasta Sunliurfa, które jak legenda głosi, było pierwszym miastem zbudowanym po wielkim potopie. Przez kolejne ery znaczyło wiele dla władców uzurpujących sobie prawo własności do terenów dzisiejszej Turcji i Syrii. Przechodziło z rąk do rąk kilkadziesiąt razy. Dziś jest ważnym ośrodkiem przygranicznym w tureckim Kurdystanie. Do Syrii stąd jest zaledwie 54 kilometry główną drogą.

W Syrii nadal jest niewesoło, chociaż podobno wznowiono już turystykę w Damaszku. Niedawne porozumienia między Rosją a Turcją, dają Erdoganowi wolną rękę w temacie

działań zbrojnych na pograniczu Kurdystanu syryjskiego, w zamian za blokowanie przez Turcję, Finlandii i Szwecji w wejściu do NATO. Rano, z wzniesienia ponad Sunliurfa było słychać jakieś wybuchy. Teren do granicy jest płaski i jedynie drgające z gorąca powietrze nie pozwala widzieć dalej niż na parę kilometrów. Dopiero tuż przed świtem schłodziło się do 23st.C.

Wracając do Gobekli Tepe, odkrycia dokonano 27 lat temu, a jest ono, według tureckich znawców, epokowe. Być może zbyt mocno angażują się emocjonalnie w swe znaleziska, podobnie jak archeologowie z Kazachstanu w znalezienie 'złotego człowieka'. Ale, w każdym razie odkrycie obiektów kultu sprzed 116 wieków jest czymś niezwykle ważnym. Według archeologów, budowanie podobnych konstrukcji mających charakter religijny, zmuszało koczownicze plemiona tuż po epoce lodowcowej, do życia bardziej osiadłego, do powracania w te same miejsca w cyklu koczowania, a więc do zmiany jadłospisu z mięsnego i leśnego, na rolniczy, wynalezienia sposobu na uprawę i hodowlę, nowych narzędzi do prac rolniczych, budowania stałych domów, wreszcie zmiany charakteru i struktury grup społecznych. Fachowcy zakładają, że kamienne kręgi z wewnętrznymi, podwójnymi stellami w kształcie młotów, to obiekty mające charakter religijny, budowane ku czci ówczesnych bogów, dla odprawiania nabożeństw rytualnych, dla siedziby tych spośród członków plemienia, którzy mieli władzę sakralną.

Nic w tym nowego, zazwyczaj oceniamy odmienne kultury, nawet Obcych, jeśli tu przylecieli swymi spodkami, według naszych i dzisiejszych kryteriów. Myślimy – gdybyśmy mieli podobne budowle co Gobekli Tepe, to byśmy używali ich w celach religijnych – i stawiamy taką, oficjalną teorię, powielaną potem w wielu egzemplarzach i pozycjach szkolnych, turystycznych, a nawet wykorzystywanych politycznie.

Życie jednak często dowodzi, że się mylimy, bo brakuje nam szerszego kontekstu, vide do niedawna obowiązujące teorie na temat planety Wenus. Być może Gobekli Tepe było rzeczywiście obiektem sakralnym, ale dziwi mnie pewność wypowiedzianych podobnych sądów. To tylko hipotezy, nie poparte niczym innym jak dedukcją. Tamtejsi ludzie nie mieli narzędzi pisma, by przekazać potomnym jakiegokolwiek treści w formie jednoznacznej. Nieliczne płaskorzeźby i ryty, przedstawiają jedynie próbę kopiowania postaci zwierzęcych, jakie wtedy były powszechnie spotykane i być może oznaczały jakieś wyższe wartości, może kult lisa był ważny, ale jak i po co, tego nikt nie wie. Nauka jednak nie lubi pustki. Jeśli nie może zapełnić dziury pewnością równań, to przynajmniej uprawdopodobnionymi tezami.

Gobekli Tepe dziś nie mówi głosem silnym. Tyle wieków minęło i zapewne czar tego miejsca wraz z nimi przeminął. Ale sterczące spod ziemi kamienne stelle dają przynajmniej jakąś pożywkę wyobraźni, by snuć sobie imaginacje na temat ludzi dawnych.

Wstęp do nowoczesnego muzeum jest droższy, niż to zwykle bywa w dzisiejszej Turcji, ale już na wstępie, zwiedzający kierowani są do przyległego budynku ekspozycji i ja bym to nazwał – wyjaśnienia. Samo oglądanie instalacji multimedialnych, czytanie opisów, poszerza znakomicie kontekst w jakim Gobekli Tepe znajduje turysta. Ja bym nawet pokusił się o stwierdzenie, że lepiej i bardziej ciekawie wygląda to na ekranie, niż w rzeczywistości kamieni.

A one zostały doskonale zachowane w ziemi i dopiero niedawno odkopane. Inaczej niż na przykład stelle Karakus Tumulus, które walczyły z czasem na powietrzu i wyglądają jak po bombardowaniu. Gobekli Tepe znaczy po turecku – płaskie, lekko wypukłe wzniesienie. Tak właśnie znaleziono pokłady archeologiczne sprzed 116 wieków. Kilka poziomów budowli świeckich i kilka kręgów budowli sakralnych. To sterczące z ziemi, płaskie kamienne stelle, mające jakby zaznaczyć miejsce spotkań, być może religijnych. Bez nakrycia dachem, bez centralnego jakby-ołtarza. We wnętrzach kręgów stawiano dwie potężniejsze stelle, w kształcie młotka, rękojeścią w dół.

Można by snuć opowieści i bajania na temat możliwych wykorzystania temu podobnych miejsc, tak dawno temu. Być może ówcześni ludzie przejawiali odmienne potrzeby od

naszych, dziś. Być może miejsca takie budowano, by skupiać ludzi jednego plemienia, w jednym miejscu, by odprawiać rytuały mentalne, nie związane z kultywowaniem bóstw wyobrażonych. Ówcześni ludzie raczej posiadali większe zdolności pozazmysłowe, niż mamy to dziś. Aby się unowocześnić, musieliśmy coś utracić w zamian. Jak dowodzą niektórzy naukowcy, dewoluowaliśmy mentalnie od zdolności stawianych dziś na równi z kuglarstwem, jak na przykład porozumiewanie się niewerbalne, coś co posiadają rośliny i zwierzęta, według dowodów eksperymentalnych. Ludzie 'dawni' przypominali bardziej zwierzęta i pod tym względem byli im bliżsi. Dziś posiadamy odmienne zdolności, na przykład możliwości logicznej analizy, ale prawdopodobnie musieliśmy utracić coś w zamian.

Nigdy nie dowiemy się jacy byli naprawdę ludzie tak dawno temu, możemy jedynie snuć domysły, pobudzając wyobraźnię, na przykład odwiedzinami takich miejsc jak Gobekli Tepe.

Tuż przed wjazdem do Gobekli Tepe, odwiedziliśmy kolejne, tureckie miasto Sunliurfa. No może nie takie tureckie, jak by się to oficjalnie zdawało, bo leży już w ziemiach dawnego Kurdystanu. Jest nowoczesne jak diabli, ale także centrum, obwarowane jest starymi dzielnicami biedoty. Być może to uchodźcy z pobliskiej Syrii. W każdym razie tylu żebraków w Turcji nie widzieliśmy nigdy wcześniej. Procederem zbierania śmieci i ich segregowania pod względem przydatności do sprzedaży, zajmują się głównie dzieciaki. Ale nie wyglądają jak typowe obdarciuchy mieszkające w slumsach Indii, albo bezdomni spod mostu w Europie. Są czysti i raczej porządnie ubrani. Nie są nachalni, raczej radośnie obojętni na obcych. Czyszczą miasto z odpadków lepiej niż służby do tego naturalnie powołane. Są jak te rybki Gurra Rufa z tureckiego Kangal Balikli.

Zaparkowaliśmy dalej od centrum i musieliśmy, a nawet chcieliśmy przedelfilować na piechotę przez te dzielnice biedoty, gdzie pod kamienicami często parkują bigbaga na kołach. To tradycyjne wyposażenie tureckich śmieciarzy. Konstruuja sobie taką dwukółkę z długimi styliskami do ciągnięcia i wieszają na nich bigbaga, służące kiedyś do przewożenia TIRami materiałów sypkich. Popołudniami kołędują po mieście szukając plastikowych i aluminiowych odpadów, by je potem sprzedać w skupie.

Dziś postanowiłem ubrać się w stylu hippie. Założyłem pstrokate, powłóczyste spodnie indyjskie, czym wzbudzałem ogólne zainteresowanie i śmiech dzieciaków. Inność przyciąga wzrok. Krótkie spodnie nie są tutaj tak dziwnym odzieniem dla dorosłego mężczyzny, zwłaszcza w mieście i to turystycznym. Ale spodnie w stylu indyjskiego hippie, to co innego.

Sunliurfa jest miastem turystycznym ze względu na kult proroka Abrahama. Legenda głosi, że Abraham urodził się w tym miejscu i spędził pierwsze siedem lat życia w jaskini, ponieważ zły król Nimrod (znany z Biblii jako założyciel Babilonu, oraz inicjator budowy wieży Babel) został ostrzeżony przez swoich astrologów przepowiednią - „dziecko, które urodzi się w tym roku skończy twoje panowanie”. Nimrod nie miał wyjścia, kazał uśmiercić wszystkie dzieci płci męskiej, jakie urodziły się w tym roku. Znane z innych podań stanowisko władcy. Ilość legend i mitów w tamtych czasach była ograniczona, bo ludzi było mało. Źródło tych podań istniało zapewne wiele tysiącleci wcześniej, a jedynie kolejne wcielenia tych samych opowieści, zapępniały karty świętych ksiąg, by ponownie powrócić na usta bajarzy, wędrujących od wioski do wioski i skupiających wokół siebie słuchających, jak do niedawna skupiały książki, a dziś elektroniczny ekran. W ten sposób legenda wędrowała po ogromnych terenach, różnych kulturach, narodach, królestwach i przetrwała wiele imperiów.

W Sunliurfa turyści jakich zwozi się autokarami, sami widzieliśmy wycieczkę z Rosji, kołędują od meczetu do meczetu, od bazaru do bazaru, po starówce, do jaskini Abrahama, do ogrodu różanego, w którym jakoby miał wylądować Abraham, po cudownym uniesieniu z płomieni, jakie zgotował mu zły Nimrod. Abraham nie pokłął się kolcami róż, bo ich płatki zamortyzowały upadek. Natomiast płomienie stosu zostały zamienione w wodę i ryby.

Może legendy były różne i różnie opowiadane, w różnych kulturach, ale zawsze chodziło o to samo, o zwycięstwo Dobra nad Złem. Samo zwyciężanie nie zmieniało się przez eony i nawet dziś jest opiewane w ten sam sposób, bo taki jest imperatyw potrzeb duchowych

społeczeństw ludzi. Zwycięzanie trwa jak równania Einsteina, niezmiennie prawdziwe. Można jedynie zmieniać pojęcia Dobra i Zła. Zmienia się czas i idee napędzające ludzi do działania, do życia, zmieniają się systemy i ramy moralne, zmienia się układ sił politycznych i wartości w jakie całe tłumy wierzą. Być może wydaje się nam dziś, że Dobro i Zło zawsze były takie same, od czasów biblijnych i wcześniej, nawet przed spisaniem legend do Starego Testamentu. Ale to błędny pogląd, jak dowodzą znawcy historii socjologii. Wystarczy cofnąć się o sto lat od dziś, a już widać jak zmieniły się wartości publiczne ludzi Zachodu, a co dopiero jak się cofniemy do czasów antycznych, a co dalej...

Święte księgi opisywane dziś z wielkiej litery, miały magazynować takie równania mitów, które mogłyby przetrwać eony i nadal być wiarygodne i kształtujące molarność, duchowość i mentalność społeczną wyznawców w każdej epoce. Wydaje się, że ten wynalazek Biblii, Koranu, Tory i innych, sprawdził się i działa do dziś, chociaż powoli przenosi się i jest wykorzystywany w innych mediach.

Pomaganie braciom mniejszym, czyli zwierzętom, także wpisuje się w ten paradygmat Dobra i Zła. W Sunliurfa zauważyłem ambulans opisany po turecku „karetka dla zwierząt”. Przywiózł na deptak przed głównym meczetem worek karmy dla kotów. Wcześniej, w Turcji wybrzeża czarnomorskiego, widziałem jak dokarmia się w małych miasteczkach wałęsające się psy. W Sunliurfa koty. Jest ich tu sporo, jakiejś odmiennej rasy niż te dachowce w Polsce. Nie są głodne. Co jakiś czas, pan z ambulansu wysypuje kilkanaście kilogramów karmy, takiej ze sklepu dla zwierząt, wprost na chodnik, a koty pasą się jak krowy u koryta w oborze bez dachu. Przypomina mi to ambulansy zwożące każdego wieczoru upitych do nieprzytomności Aborygenów z miast północno-zachodniej Australii. Zwożące na powrót do wiosek aborygeńskich, na pustynię, lub w busz. Takie poprawianie rzeczywistości, aby bardziej pasowała do potrzeb społecznych. Może nie wypowiedzianych, ale wyczuwanych przez władzę. A skąd brane są te wzorce potrzeb? No właśnie ze społecznego imaginarium, kompleksowego 'myślenia', światopoglądu, wyobrażenia świata. My wszyscy jesteśmy jego piewcami, każdy z nas, świadomie lub nie. A bajania dawnych legendotwórców, późniejsze wdrukowywanie norm społecznych przez klechów, przekaz dzisiejszej propagandy i mediów, wszystko to tworzy iluzję zbiorczą, nazwaną imaginarium, takie przeświadczenie o poczuciu rzeczywistości i reguł jakimi się rządzi.

Sunliurfa to Kurdystan, a Kurdystan to dawne co? To teren zamieszkiwany przez Kurdów, naród indoeuropejski. Dziś ich domena jest podzielona, jak rozbiory Polski, pomiędzy Iran, Irak, Syrię i Turcję. Jest to jeden z największych narodów, bez własnego państwa. Ilość Kurdów kalkuluje się na niecałe 30 milionów. Trudno ich policzyć, bo na przykład w Turcji, w XX wieku, Kurdów nazywano Turkami Górskimi, używania nazwy Kurd, języka kurdyjskiego zakazano, a nawet karano ich stosowanie. Do dziś język kurdyjski nie jest nauczany w szkołach. Ludzie ze wsi nie chcą posyłać dzieci do szkół, w których mówi się w języku tureckim, więc dzieci często są niepiśmienne, bo nie chodzą do szkół. Nawet znamy takiego, jednego biznesmena, dorosłego człowieka z Dogubayazit. W Turcji Kurdowie stanowią największą mniejszość, czyli prawie 18% społeczeństwa. Ich walka o ustanowienie własnego państwa nadal nie odnosi skutków. Ale powstał, za sprawą Amerykanów, Kurdystan iracki. Powstał i musiał zmagać się z Państwem Islamskim.

Kurdowie są mocno skłóconym wewnątrz narodem. Historycznie tworzyło ich wiele plemion, dziś wiele klanów, odrębnych od siebie, zwalczających się nawzajem. To osłabia dość znacznie siłę scalającą społeczność Kurdów.

W Sunliurfa język kurdyjski używany jest częściej niż turecki. Łatwo to poznać, przysłuchując się rozmowom w parku, sklepie, czy na chodniku. Fizycznie Kurdowie wydają się być bardziej smuklejszej budowy ciała. Kurdowie wyznają islam sunnicki. W większości, bo są też Kurdowie chrześcijanie. Na płaszczyźnie religijnej nie kłócą się z Turkami, ale podobno Turcja to kraj aspirujący do miana świeckiego.

Pochodzenie Kurdów nie jest jednoznaczne. Najczęściej wywodzi się ich od Babilończyków, którzy pokonali imperium asyryjskie, w VII wieku p.n.e. W VII wieku n.e., podbici przez Arabów, przeszli w większości na islam. Wtedy znano ich pod mianem Kardochów. Jednym z najbardziej znanych Kurdów był Saladyn, wielki wojownik i władca, legenda na Bliskim Wschodzie, ten który odbił z rąk najeźdźców (krucjatowców) Jerozolimę w XII wieku.

Po I wojnie światowej, zapewniono Kurdom w traktacie w Sevres, autonomię z możliwością uzyskania przez nich niepodległego państwa w przyszłości. Już rok później, w 1921, Kurdowie proklamowali własne państwo, ale odkrycie złóż ropy na terenach kurdyjskich, spowodowało, że Europa wycofała swe poparcie, w obawie, że ropa nie będzie dostatecznie bezpieczna w rękach tak dzikiego narodu. Traktatem z Lozanny, w 1923, podzielono państwo Kurdów pomiędzy Turcję, która wtedy już miała status autonomicznego państwa laickiego, głównie dzięki Atatürkowi, Persję, Irak pod miękkim panowaniem Brytyjczyków i Syrię, pod panowaniem Francuzów. Rok później, wojska brytyjskie, siłą zlikwidowały ostatnią i pierwszą państwowość Kurdów.

Za panowania Atatürka w Turcji, Kurdów prześladowano i na siłę sturczano. Kolejne powstania kurdyjskie krwawo tłumiono i przesiedlano Kurdów dalej na wschód, w rejony mniej znaczące i mniej żyzne rolniczo. W latach '70-tych, Kurdowie szli pod rękę z komunistami, by odzyskać niepodległość. Walka partyzancka, z postulatami wolnego szkolnictwa dla Kurdów, rezygnacji z zakazów używania języka kurdyjskiego i tłamszenia narodowości kurdyjskiej, nic nie dały przez kolejne dekady. Turcy obliczyli, że w wyniku tej partyzanckiej wojny zginęło ponad 30 tysięcy ludzi. W XXI wieku, Turcja starając się o uznanie i członkostwo w Unii Europejskiej, złagodziła nieco restrykcje dla Kurdów. Mogą już używać swojego języka, ale nie wypuszczono więźniów politycznych.

W Iranie Kurdów tłamszono z mniejszym zaangażowaniem. Natomiast w Iraku, przykładano się do tego lepiej. Na przykład w 1988 roku rząd Husaina wystosował wojskową ofensywę na tereny irackiego Kurdystanu, zabijając po równo partyzantów i cywili, stosując gazy chemiczne. Zginęło wtedy, zależnie od źródeł, od 50 do 200 tysięcy ludzi, a 300 tysięcy wysiedlono. W 1991, na prośbę Ameryki, Kurdowie wznieśli powstanie w Iraku. Miało to pomóc Amerykanom w walce z Husainem. W wyniku czego zginęło ponad 60 tysięcy Kurdów, a półtora miliona wyemigrowało. Sąsiednia Turcja wykorzystała ten czas, aby zwalczać Kurdów jako terrorystów, wprowadzając swe wojska od północy do irackiego Kurdystanu. Jednym słowem walka o niepodległość pełną gębą i my w Polsce, możemy się przy Kurdach czuć malutcy pod tym względem.

Kolejny dzień obfitował w nie do końca przyjemne zdarzenia. Czasami tak jest, że biegniemy wciąż w dal i w dal, zbliżając się jednocześnie do raf ukrytych pod powierzchnią. One tam już od dawna na nas czekają, są nam przypisane i tylko nasza nieświadomość ich istnienia pozwala nam mniemać, że czeka nas jedynie świetlana przyszłość. Jak igła gramofonu, nasz los uwięziony jest w rowkach dawno napisanego losu.

Wjechaliśmy w kraj Kurdów wiejskich. Tereny przygraniczne kiedyś były dość biedne. Od tysięcy lat, deszcze tutaj nie padają zbyt często. Dawniej to były żyzne tereny, ale dziś tylko piach, kamienie i spiekota słońca. Od lat '90-tych, kiedy wybudowano zaporę Atatürka, wszystko się zmieniło. Zgromadzona w górach woda, została skierowana na pustynne tereny i dzięki nawadnianiu stały się one rolniczą krainą. Piaszczyste niziny obsadzono krzakami bawełny i kukurydzą, miejscami jęczmieniem. Tutejsi ludzie stali się rolnikami. Kiedyś tylko wypasali nieliczne stada owiec i kóz, albo trudnili się przemytem przez granicę do/z Syrii.

Scenariusz był gotowy. Kilkadziesiąt lat temu, podobny, albo nawet całkiem taki sam, wymyślili komunistyczni specjaliści z akadiemgorodoków Chruszczowa. Postanowiono użyć Uzbekistan i Kazachstan. Ówczesne republiki ZSRR. Tradycyjnie, z gór Tien-Shan, woda płynęła do morza/jeziora Aralskiego dwoma rzekami: Syrdaria i Amudaria. Skierowano ich wody na pustynię, użyżniono ją i w ten sposób, na przykład Kazachstan stał się największym

eksporterem pszenicy na świecie, a Uzbekistan potentatem bawełnianym. Jedno i drugie, właściwie bawełna bardziej, potrzebują wody w dużych ilościach. Woda na polach odparowywała i do morza Aralskiego nie dopływała. Wielkie rzeki u ujść były jedynie strumykami. Dziś nieco zmniejszono zapotrzebowanie na wodę na polach Uzbekistanu, ale morze i tak wysycha. Ciekawe jak Syria i Irak zapatrują się na politykę wodną Turcji. Eufrat i Tygrys to ważne rzeki dla tych państw, bez nich pozostaje tylko pustynia, która kiedyś, przed wieloma wiekami, była żyznymi terenami.

Kurdowie są inni niż reszta obywateli Turcji. Choćby z postawy, są bardziej krępi, mają masywniejsze głowy i krótkie szyje. Fotografie polityków z afiszy wyborczych w Kurdystanie, ciągle przypominają mi fizjonomię pocziwego Shreka.

Kurdowie są też inni społecznie, paradoksalnie bardziej azjatyccy, bardziej dzicy. Może nie cierpią na braki środków do życia, ale mentalnie są jednak bardziej spoza Europy niżby to wynikało z ich rodowodu.

Od dziś nękały nas watahy dzieciaków, łapczywie wypatrujących turystów, do których można by się przyczepić. Zwykle zaczyna się od prostego – hallo – by po chwili przejść do – what's your name. Zaraz potem usłyszymy – money – ze znakiem zapytania na końcu. Dzieciaki czepiają się drapieżnie, bo są jak drapieżne zwierzątka. Zresztą jak wszystkie dzieci na świecie. Te jednak są pozbawione ram rygoru zachowania. Nie z ich winy, ale z powodu mentalności społecznej, w jakiej wyrosły. To dorośli przyzwalają na takie zachowanie, na drobne kradzieże, na nękanie i żebranie bez powodu, bo biedy po dzieciakach nie widać. Często podjeżdżają na dobrych, nowych rowerkach, ubrani też są niczego sobie.

Dorośli również tkwią w mentalności 'dzikiej'. Ja to tak nazywam, ale tak na prawdę bardziej poprawnie byłoby to określić – niecywilizowana. W Indiach, czy w Pakistanie, można to zauważać jako – umysł dziecka. Ludzie dorośli przejawiają nieskrępowane potrzeby zwykłe dzieciom. My, na Zachodzie też je mamy, ale normy społeczne automatycznie gaszą pożar tych namiętności. Ludzie 'niecywilizowani' tych norm jeszcze nie wykreowali w świadomości społecznej. Jeśli nie przyszły wcześniej z religią, to przyjdą później z globalizacją. Na razie prosty chłop z Kurdystanu, zobaczywszy światełko na 'jego' pustyni, poweźmie wszelkie wysiłki nie oszczędzając środków, aby to zjawisko zbadać i dowiedzieć się, co też tam się dzieje na piasku. Jego brat Turek, nie będzie się tak starał. Wykorzysta swe moce umysłowe, aby odpowiedzieć sobie na nurtujące go pytanie – co też tam się dzieje. Dziecinna ciekawość nie zmusi go do wsiąścia w samochód i pojechania, by sprawdzić naocznie. Kurd przyjedzie i będzie się gapił, połykając oczami 'nowość' z pustyni. Dobrze że się przywita, pozdrowi, bo tego na przykład Beludżowie z Pakistanu jeszcze nie potrafią. Oni gapią się w nieskończoność, przychodzą całymi wioskami mężczyzn i stoją wpatrując się żarłocznie. Kurd postoi i popatrzy parę minut, w końcu się zmęczy, odejdzie, a my pozostaniemy niepewni jego intencji, mimo że to praktykujący muzułmanin. W oczach Turka, albo na przykład Irańczyka, nie dostrzeżemy takiej zwierzęcej popędliwości, raczej zrutowaną nakazami tradycji zdyscyplinowaną gościnność.

Dzieci kurdyjskie też są nieskrępowane w uzewnętrznianiu swych emocji. Będą nagabywać, by zwrócić uwagę, będą szarpać, kiedy traktuje się je jak powietrze, będą rzucać kamieniami na odjeżdżnym, kiedy nie zaspokoili się ich potrzeb. Łatwo się płoszą, jak szpaki znad drzewa czereśni, ale szybko powracają, gnane imperatywem głodu ciekawości. Nigdy nie mają dość, nigdy się nie męczą. W grupie są śmielsze, w pojedynkę bardziej przyjazne.

Pamiętam dzieciaki zepsute podarkami przez turystów w Maroku. Potrafiły kraść zorganizowanie i rzucać celnie kamieniami, kiedy je się ignorowało. Brak uwag ze strony rodziców, był znamieny. Dzieciaki nie robiły nic, co by wykraczało poza normy przez nich uznawane.

Jadąc na południe od Sunliurfa i potem wzdłuż syryjskiej granicy, można zwiedzić kilka ciekawych miejsc, z romantycznymi ruinami dawnych ksarów, twierdz, miast. Jest nawet jeden antyczny kamieniołom, do którego warto zajść, by poczuć ten nacisk monumentalnej

natury kamieni, w sklepieniu sięgającym niebios z dziurą na środku. Mimo, że te miejsca są ciekawe, inspirujące wpasowaniem nowych zabudowań wiosek w stare, antyczne ruiny, wykorzystania starożytnych lochów, aby przetrzymywać w nich stada owiec, trudno jednak je ze spokojem zwiedzać, a nawet niebezpiecznie, ze względu na młodocianych złodziei.

Nam jednak przytrafiło się coś trudniejszego. Sprinter postanowił zepsuć się na środku takiej wioski pełnej dzieciaków. W tureckiej wiosce pewnie nie zobaczylibyśmy żadnego malca, podszedł by może jakiś rolnik i zapytał czy w czymś pomóc. We wiosce kurdyjskiej, zgraje dzieciaków to codzienność, beznamętne przyglądanie się dorosłych to norma.

Od jakiegoś czasu rolka paska wielorowkowego musiała mieć problemy z łożyskiem. Zapewne tarcie bez smaru, za to z kurzem i piaskiem, spowodowało rozgrzanie się łożyska do czerwoności, w efekcie czego plastikowa rolka się stopiła jak masło, a pasek spadł. Części zapasowe to nie problem, trzeba je tylko wyłuskać z przepastnego bagażnika. Problem w narzędziach specjalistycznych, potrzebnych do wymiany rolki i założenia paska. Europejscy producenci samochodów od dekad są światowymi specjalistami w utrudnianiu domorośłym mechanikom napraw swych produktów. Gdzie tylko mogą, używają specjalistycznych śrub, by zmusić użytkownika do odwiedzin serwisu dealerskiego. Trzeba zatem kombinować, by jakoś przeżyć. Stąd nie pojmuję miłości niektórych, jaką obdarzają producentów swych pojazdów. Dla mnie, ci inżynierowie i nawet bardziej dyrektorzy techniczni, utrudniający mi życie, są godni nienawiści, aniżeli miłości. Sprzedają nam buble zaprojektowane z pełną świadomością ich kiepskiej jakości, na dodatek utrudniają jeszcze ich naprawę.

Sam pojazd nie jest niczemu winien, w końcu zepsuć się musi, ale dlaczego w takim miejscu. Półtorej godziny walki z mechaniką nie byłoby niczym dziwnym w podróży, ale w asyście hałaśliwej watahy dzieciaków kurdyjskich, to już wyzwanie. Iwona musiała pilnować, aby niczego nam nie ubyło, aby nie włożyły od tyłu, kiedy my jesteśmy z przodu samochodu. Raz na jakiś czas trzeba było wrzasnąć, bo ośmielone brakiem reakcji, włączą na głowę z ciekawości zaglądając i komentując, co też ten obcy tam gmera pod maską samochodu. Dorosli widzieli nasze wysiłki, ale nikt nie podszedł i tak po islamsku nie zapytał jak może pomóc. Za to wieczorem, na kamieniołomie, kiedy zapaliliśmy światełko by coś zjeść, odwiedzali nas dwukrotnie. Bo tu wioski są dookoła, mimo że kamienista pustynia. Po zmroku, zapalają się światła w domach i widać ile ich jest.

Umęczeni upałem, walką z dzieciarnią i samochodem, wypiliśmy po dwa kieliszki wina i poszliśmy spać z otwartymi drzwiami, inaczej w tej duchocie się nie dało. Rano pojechaliśmy zwiedzić ostatnie dwa, ciekawe miasteczka Kurdystanu: Mardin i Midyat.

Są do siebie podobne, ale jednak różne. Mardin leży na pierwszym szczycie, odcinającym żywną, bo nawadnianą pustynię Kurdystanu tureckiego od gór. Jest zbudowane jakby na klifie, z którego roztacza się piękny widok. Uskok ma około 600 metrów wysokości. Nowe miasto Mardin jest nieco za starym, w płaskiej dolince.

Mardin jest kreowane na kolejny landmark Turcji. Oficjalnie podaje się, że ma być taką atrakcją jak Pamukkale, czy Kapadocja. Miejscem, gdzie każdy turysta być powinien, jeśli chce się poznać Turcję. Jakkolwiek śmiesznie to brzmi, staje się powoli populistyczną prawdą. Mardinowi jeszcze sporo brakuje do tego by stać się Mekką turystyczną, ale już ma nowoczesne lotnisko, pełne zaplecze hotelowo-restauracyjne, dobrą komunikację, a przede wszystkim wielkie możliwości, jakie daje piękna, kamienna zabudowa tarasowa na stromym zboczu góry z przyciągającą obiektywy aparatów panoramą.

Nie można w Mardin uprawiać żadnej innej aktywności poza spacerowaniem po uliczkach i zwiedzaniem tysiąca sklepików, i restauracyjek. W zasadzie główna uliczka to prawie dwukilometrowej długości hipermarket. Powinni tylko zamknąć ruch pojazdów, bo chodniki są zbyt wąskie.

Hotele mają obowiązkowe roof-top-restaurant z widokiem. Wieczorem, w porze zachodu słońca, to najlepsza... jak to dzisiejsi hashtagowcy mówią... miejscówka we wschodniej Turcji. Już aby spędzić weekend w Oriencie, przylatują tutaj turyści z Istanbulu.

Nie powiem, miasteczko ma swój urok i odmienność stylu. Ma też lokalne rękodzieło w kolorze błękitnym i lokalne, tylko tutaj do nabycia przysmaki. Godnie prezentują się też piwniczki z winami, to ewenement na skalę całej Turcji. Wina są absurdalnie drogie, ich cena nie odzwierciedla jakości. W tym są podobne do win eksportowych z Gruzji. Na szczęście butelkę, którą można kupić w sklepie z winami za 52zł, można też kupić w zwykłym sklepie monopolowym za 24zł. Tanio nie jest, ale pewnie Erdogan narzucił niezłe opodatkowanie wyrobów alkoholowych w Turcji.

Turcja wschodnia jest jednak inna od zachodniej. Panuje tu inna atmosfera, nie tylko z powodu kurdyjskich dzieci, które bezceremonialnie, na głównym placu zabytkowego Mardin, krzyczą za turystami – MONEY! Jest tutaj inaczej. To ludzie zazwyczaj tworzą to 'inaczej'. Jest coś nienamacalnego, niedoświadczanego pięcioma zmysłami, ale tym szóstym, który każdy z nas ma w szczątkowej formie. Potrafimy go jednak używać, skoro wielu pisze wiersze, piosenki, czy kręci filmy o wspaniałych miejscach, a to przecież tylko miasta, jak Nowy Jork, czy Paryż. O wiele więcej ludzi ogląda, słucha i czyta potem tą twórczość, badając przy okazji swój osobisty zachwyty nad czymś, czego określić w prosty sposób się nie udaje. Jedynie przez opis, kontrast, porównanie i zauważenie osobistych emocji. No właśnie, emocje jakich miasteczka wschodniej Turcji są powodem, wydają się inne, bardziej miękkie, chociaż mniej przyjazne niż te z Turcji zachodniej. Tu na wschodzie jest bardziej swojsko, wiejsko, wszak to daleka prowincja. Ale także bardziej azjatycko, czyli orientalnie, egzotycznie. Bódźce docierają do przyjeźdnego inną drogą, bardziej nieznaną, aniżeli tak bezpośrednio, jak to jest bliżej Europy.

Odległe o prawie sto kilometrów Midyat, jest podobne w charakterze, chociaż to nie jest turystyczne miejsce. Droga wjazdowa, podobnie jak w innych miastach tego regionu Turcji, jest flankowana nowoczesnością, która aż bije po oczach. Szybko dociera się do starówki, która z kolei zaskakuje finezyjnymi zdobieniami fasad kamiennych budynków, łuków bram, pomników. Te drobnocięte akanty, wzory geometryczne, rysunek płaskorzeźb, był tradycyjnym elementem budownictwa Midyat. Można go dostrzec na starych kamienicach i tych zupełnie nowych, jak na przykład komisariat policji. Miejscami można poczuć się jak pośród rzymskich zabytków we Włoszech.

Warto przespacerować się po starówce, zwłaszcza dalej od jedyne szlaku turystycznego, kiedy wreszcie dzieciaki przestaną się nas czepiać, a te z dzielnic obok, jedynie się ciekawie przyglądają. Flankowane wysoko kamienną zabudową, kręte uliczki są przyjazne dla spacerowiczów. Można trafić na ciekawe plenery zdjęciowe, zwłaszcza o zachodzie słońca, kiedy budynki nabierają innych niż prześwietlone kolorów.

Z Midyat mieliśmy pojechać do Hasankeyf, ale niedawno zbudowana zapora wodna na rzece Tygrys, załaziła zabytkowe miasteczko na zboczu góry, a nowozbudowane w zamian, nie jest aż tak atrakcyjne. Pooglądaliśmy jedynie zalew w kolorze baby blue pośród szarych i żółtych, piargowych, łysych wzniesień i pojechaliśmy dalej na północ, w stronę jeziora Van.

Kiedy jadę, a Iwona śpi, słucham muzyki i oglądam powtarzalny krajobraz Turcji, to popadam w taki stan odrętwienia i załęknięcia. Myśli toczą się w koło jak derwisz, który wirując popada w stan oddalenia i odłączenia, wejścia w tylko jeden stan umysłu. Lęk wynika z prawdopodobnych awarii jakie mnie czekają i wydatków, na które nie mogę sobie pozwolić. Ale także nerwów i poczucia przegranej, kiedy trzeba coś naprawiać, nie do końca wiedząc jak. Wtedy łapię się na tym stanie załęknięcia przyszłością i mówię sobie Dość! Co ma być to będzie i na pewno jakoś dam sobie radę, z akcentem na słowo 'jakoś'. Daje to jakiś czas spokoju i przyjemności jechania w dal i w dal, wolności od układu odniesienia i powiązań obowiązkami, stan bycia, zamiast stanu wyczekiwania. Ale to mija po jakimś czasie, bo automatyzm nakierowuje znowu na wyczekiwanie złych chwil. Pewnie to takie moje skrzywienie wewnętrzne. Coś jak krzywy kręgosłup, który zawsze niszczy prawidłową postawę, jeśli tylko zapomnimy się należycie wyprostować.

Znaleźliśmy nocleg nad górską rzeką Basur. Strumień miło szemrał przez całą noc. Woda była ciepła, warto było skorzystać z jej ochłody. Rano słońce później niż zwykle wychynęło zza szczytów. Pasterze przygnali swoje stada owiec i kóz nad wodę, a sami schowali się w cieniu. Nie zaczepiali nas, tylko przyglądali się z daleka.

Basur pięknie przecinała skaliste zbocza gór w kanionie za Caykaya. Trzeba było zjechać z głównej drogi, na starą i dziurawą, wąską ścieżynę. Nowa droga okrążyła szczyty od zachodu. Gdybyśmy wiedzieli, że przed nami taki piękny kanion, to wczoraj wieczorem przyjechalibyśmy zanoćwować właśnie tutaj. Ale w podróży nigdy nie wiadomo, co jest za następnym zakrętem.

Zatrzymaliśmy się we wiosce Baykan, aby uzupełnić zapasy żywności. Kurdowie od razu zauważyli nasz nieco odmienny samochód. Przede wszystkim mocno zakurzony i brudny, co tutaj jest dziwne. Hasło Lewandowski otwiera ich serca, kiedy słyszą – Polonia. Do dzisiaj nie mogę oprzeć się skojarzeniu, że przecież co oni mogą wiedzieć o ministrze przekształceń własnościowych z Polski. No ale dla nich piłkarz jest nośnikiem kultury, jej eksporterem nawet na inne kontynenty. Bożyszczę tłumy zwykłych ludzi, dla których sport jest najważniejszą rozrywką zarówno duchową jak i mentalną.

Chwilę później, za wioską, minął nas z przeciwka samochód podróżniczy z Niemiec. Zapewne jego kierowca wypatrył naszego Sprintera równie szybko i z daleka jak ja ich bushtaxi. Minęliśmy się na przeciwległych pasach autostrady, wpatrując w siebie. Swój swego rozpozna.

Przez wioskę, wąską drogą, przeciskały się irańskie TIRy. Zapewne jadą z miasta Van i z przejścia granicznego. Mają założone zagraniczne rejestracje, wypisane łańskimi literami. Tuż obok irańskich tablic, zapisanych alfabetem perskim. Może wiozą wspaniałe daktyle... Ciągniki to zazwyczaj starsze modele Volvo. Przeplatają je nowsze ciężarówki tureckie, niektóre oklejone obowiązkowymi naklejkami we Francji, czyżby aż tak daleko podróżowały.

Stara droga jest jednopasmowa. Zdarzają się liczne i strome podjazdy, oraz ostre zakręty. Wyprzedzanie mozolących się ciężarówek nie jest łatwe. Ale jest już budowana nowa droga. Od razu, oczywiście autostrada. Przebijają ją tunelami przez piargowe wzgórza i wiaduktami ponad zielonymi od drzew dolinami. Bliżej jeziora Van, wpadamy na taką, nową autostradę i jedzie się o wiele przyjemniej, chociaż widoki zza okna już nie są tak spektakularne.

Tureccy kierowcy, w swych nowych, niemieckich gablotach, nie są zbyt dobrzy za kółkiem. Scinają zakręty, bo nie potrafią trzymać się swojego pasa ruchu. Jadą wolno tam gdzie można jechać szybko, a szybko, tam gdzie powinno się zachować ostrożność. Nigdy nie patrzą w lusterka, ale to akurat jest spowodowane brakiem zauważania innych wokół siebie, nawet na chodniku. Jeden z nich zajechał nam dość ostro drogę. Gdybym nie odbił, byłaby stłuczka. Nie sądzę, że zrobił to rozmyślnie. Po prostu wyprzedzał na zakręcie autostrady, a oni zwykle scinają zakręty, więc zajechał mi drogę, bo ja trzymałem się swojego pasa ruchu.

W końcu dojechaliśmy do Tatvan, miasta nad jeziorem Van. Już na przedmieściach mogliśmy podziwiać krajobraz niebieskiej toni wody, pośród żółtych wzniesień, na wysokości ponad 1640m n.p.m. Wcześniej przejeżdżaliśmy plac budowy nowego miasta. Ekipy budowlane uwijały się przy konstruowaniu nowiutkich kamienic, każda po kilka pięter, a tych kamienic było dobre kilkadziesiąt. To jakby oddalona od miasteczka, kolejna dzielnica Bitlis. Próbowaliśmy znaleźć w internecie jakieś informacje na temat budowania tak ogromnej dzielnicy mieszkaniowej, po środku wzgórz, na wysokości prawie 2000m n.p.m. Ale po angielsku nic nie znaleźliśmy. Być może powstaje tu jakiś zakład pracy, kopalnia, czy inne przedsięwzięcie, które potrzebuje tysięcy pracowników. Ta budowa sprawiała dziwne wrażenie. Jakby autostrada przecinała zupełnie nowe miasto, ze sklepami, restauracjami, placami zabaw, parkami i dziesiątkami wieżowców mieszkalnych. Za miastem stawiano ogromne hale produkcyjne. Tureccy budowlancy mają rozmach. Czasami widzimy jak porzucają kawałek nowowypudowanej drogi, albo wywiercone już w zboczu tunele, bo zmieniła się koncepcja i budują obok inaczej, bardziej nowocześnie. Mijamy nowe, nigdy nie

używane wiadukty. Wygląda to tak, jakby ich nie rozliczano skrupulatnie z kosztów, inaczej niż w Europie zachodniej.

Jednocześnie spostrzegam niski poziom wykonania tych nowoczesnych konstrukcji, oraz typowo azjatycki brak zorganizowania w oznakowaniu dróg. Stawiane są znaki nie mające nic wspólnego z sytuacją na drodze. Czasami oznakowanie wprowadza w błąd kierowców. Straszy się ich fotoradarami i to często, montuje się je nawet ponad drogami, na wielkich bramkach, ale chyba nie działają, bo Turcy za nic mają ograniczenia prędkości, może i dobrze bo są absurdalne.

Przed Tatvan skręciliśmy w nieoznakowaną ścieżynę, w kierunku nieczynnego wulkanu Nemrut. Po wybudowaniu nowej drogi, zapomniano stworzyć skrzyżowanie i oznakowania, by móc dojeżdżać do największej atrakcji tego regionu. Trzeba przejechać przez opłotki garaży i stację benzynową, by trafić na nowy asfalt i zobaczyć jakieś drogowskazy. Kilka lat temu była tu nędzna szutrówka. Teraz wylano nowy asfalt, aż do dolnej stacji wyciągu narciarskiego. Dalej jest nowy bruk, ale już lekko zdezelowany.

Tym brukiem można wjechać na koronę wulkanu, coś w rodzaju przełęczy na wysokości 2366m n.p.m. Roztacza się stąd wyborna panorama na jezioro Van, ginące we mgle drgającego od słońca powietrza. Wulkan wybuchł ostatnio w 1650 roku, wcześniej wybuchł blokując rzekę i tworząc jezioro. Bardzo podobnie postąpił wulkan Khorgo, który zwiedzaliśmy w Mongolii zachodniej. One chyba specjalizują się w tego rodzaju przedsięwzięciach hydrotechnicznych. Wulkan Nemrut jest wygasły od dawna, w jego kalderze jest ogromne jezioro z krystaliczną i w miarę ciepłą wodą.

Dalsza podróż brukowaną drogą doprowadza do zaimprovizowanej plaży, która jest odwiedzana popołudniami, a zwłaszcza w weekendy przez mieszkańców okolicznych miast i turystów. Spotkaliśmy pięć kamperów z zachodniej Europy. Rozstawili swe domki na kółkach nieco dalej od publicznej plaży. Można tu znaleźć wiele miejsc dogodnych do spędzenia kilku dni pośród dzikiej przyrody. Przyjezdni jednak szukali jeszcze większego spokoju, oddalenia od turystów tureckich, jazgotu dzieciarni, tłuczenia garnków na grillu przez tureckie gospodynie i nieskrępowanej radości koegzystencji z naturą ojców tych tureckich rodzin, czyli śmiecenia i puszczenia głośno tureckiego disco.

Poszukiwanie takiego oddalenia od autochtonów jest jednak symptomatyczne. My przyjezdni, nie potrafimy przyjmować ekspresji tubylców, preferujemy własne, przyjazne, znane środowisko. Skupiamy się w takie małe grupki, jak tutaj nad jeziorem Nemrut Golu, by po europejsku odpoczywać na łonie przyrody, ale w Turcji. Jest to na pewno jakiś wyraz dezaprobaty dla kultury lokalnej, z której chcemy brać tylko to, co nam odpowiada, odrzucając rzeczy niepasujące do naszych potrzeb. Zresztą to całkiem naturalne.

Jak otaczająca nasz dziki kemping na końcu drogi przyroda, gdzie ukryliśmy się od wszystkich, tych zachodnich i tureckich, turystów. Co chwile przychodzą do nas żółwie i to w dużych ilościach. Obijają się swymi skorupami o kamienie i tak pukając głucho wędrują przez las topolowy i trawę. Zauważyliśmy nawet żółwiowe gody, które z początku wyglądały jak konflikt terytorialny dwóch samców, a okazały się intensywną grą wstępną gadów. Całkiem energiczny, jak na żółwia pan, obiegał swą oblubienicę dookoła, co i raz stukając w jej pancerz własnym. Robił to dość zapalczywie, stąd wysnuliśmy wniosek, że to chyba walka. Samica schowała się do swojego domku i wykorzystała moment aby 'odbiec', gdy tylko o władnięty żądzą partner, pogubił się w pieszczotach. Tenże jednak dopadł ją na środku drogi leśnej i tam wziął, co chciał. Kobita żółw straciwszy wianek podreptała w krzaki.

Iwona dokarmia naszych powolnych sąsiadów. Daje im pomidory i ogórki, w nadziei, że są jak i ona wegetarianami. Żółwie o dziwo wcinają nie tylko warzywa, ale także podtykane im przez Iwonę resztki arbuza. Dokarmianie dzikiej przyrody ma coś z atawizmu obłaskawiania jej, jak składanie darów bogom od deszczu, słońca i wiatru. Interakcja z dziką przyrodą, kiedy taki żółw wrąbie arbuza, aż mu się uszy trzęsą, daje satysfakcję nawiązania

kontakty, albo porozumienia z zupełnie inną stroną natury, niż ta z jakiej my jesteśmy ulepieni.

Wieczorem, w nocy i rano, odwiedziły nas okoliczne misie. W nocy zjadły trochę arbuza, a rano pocwałowały na zbocza kaldery, by zbierać jakieś owoce z krzaczastych drzew. Iwona wszystko skrzętnie rejestruje aparatem i kamerą. Tylko kto to będzie potem oglądał!

Przed niedźwiedziami przyszedł nas ostrzec wieczorem jakiś Turek, władający niejaką angielszczyzną. Misie go ubiegły, więc już pochowaliśmy odpadki i jedzenie do wnętrza samochodu, ale kawałki grubej skóry arbuza zostały, więc misia rodzina skorzystała w nocy.

Miło się odpoczywa od nieustającej od pięciu tygodni podróży. Ciągłe w drodze, a tutaj sobie siedzimy, czytamy, pracujemy przy komputerach i leniuchujemy. Za 12 dni mamy być w Kutaisi, w Gruzji. Trzeba jeszcze pozwiedzać okolice północnego jeziora Van, Arrarat i góry bliżej granicy gruzińskiej. Jutro pojedziemy dalej.

W końcu wyjechaliśmy z krateru Nemrut na koronę kaldery, na wysokość ponad 2500m n.p.m. Roztaczał się stąd piękny widok, więc zostaliśmy tu na noc. Odległe, góryste brzegi jeziora Van najpierw zanikały we mgle drgającego od słońca powietrza, potem zaczęły rozmywać się w szarościach wieczoru. Na koniec nabrały zimnego blasku księżycowego i biała poświata na jego wodach ciągnęła się w dal. Jutro pełnia, czyste niebo, więc noc była jasna, prawie jak w lecie, w Petersburgu. Jedyne mankament to porywisty wiatr, jak na szczycie góry. Wieczorem wiało do jeziora, rano od jeziora. Rankiem było tylko 11st.C, ale słońce szybko zaczęło nagrzewać powietrze, wtedy pojechaliśmy w dół do jeziora i miasteczka Ahlat.

Podobno istniały tutaj osady ludzi już 80 wieków temu. Teraz to zwykłe, kurdyjskie miasteczko. Na tyle duże, aby można było uzupełnić zapasy w sklepie, nabrać wody do prysznic i coś pozwiedzać. Jest tutaj kilka grobowców Turków seldżuckich, głównie z XIII wieku. Jest także ogromny cmentarz, z muzułmańskimi grobami sprzed tysiąca lat. Warto go odwiedzić. Spacer pośród setek kamiennych steli, opatrzonych arabskim pismem, nastraja refleksyjnie. Niektóre groby posiadają nowoczesne tablice, z angielskim tłumaczeniem.

Dzisiaj pozostawiamy w kulturze zachodniej, na grobach, jedynie datę produkcji i zezłomowania. No może czasami dopisek o charakterze religijnym, czy rodzinnym. Wiele z tych starych grobów w Ahlat, ma krótkie życiorysy tych, których tutaj złożono po śmierci. Możemy poczytać o lekarzu z XIII wieku i jego usługach dla okolicznej ludności, o kupcu, który zbudował swoją małą kompanię handlową właśnie tutaj, w Ahlat. Można poczytać o ludziach, którzy żyli tutaj prawie tysiąc lat temu, tak jakby dopiero co ich zakopano, a wtedy świat tych ludzi wydaje się bliższy i bardziej znajomy. Kiedy przejeżdża się przez takie miasteczka, czasami ktoś pozdrowi, czasami ktoś zapyta skąd jesteśmy, ale jest to niewielka interakcja i poznanie tutejszego życia. Można się zatrzymać na herbatę, lub dwie. Posiedzieć na głównej ulicy i zaznajomić się przez pół godziny z tętnem życia w tej obcej miejscinie. Znajomość języka, albo chociaż 3PO na własność, dałyby o wiele więcej przyjemności poznawania ludzi obcej kultury, w ich naturalnym środowisku.

Kiedy jeżdżę motocyklem po Polsce, zazwyczaj na skróty lasami i łąkami, to czasami zatrzymuję się w zapyziałych wioskach, albo miasteczkach istniejących z dala od głównych dróg. Siadam pod sklepem, coś zjadam, albo płuczę usta z pyłu jakąś wodą. Można wtedy zadzierzgnąć znajomość z lokalnymi pijakami obciążającymi mamrota pod sklepem, albo z wiejską babą, która przyszła do sklepiku kupić masło, czasami jakieś dzieciaki przyjdą obejrzyć motocykl i też są źródłem informacji wioskowych. Historie ludzi obcych wiele objaśniają na temat życia miast i wsi, przez jakie się tylko podróżuje. Przybliżają ten świat, który już nie może być anonimowy, pozorny, wyobrażony na podstawie tego co tylko widać z wierzchu.

Nasza dalsza droga wiodła wzdłuż północnego brzegu jeziora Van. Z początku, za Ahlat, wybrzeże było pełne pięknych plaż, niebieskie wody jeziora były o biały żwir i tuż przy brzegu

prześwitywały mleczną poświatą turkusowej głębi. Niektóre plaże miały nawet cień drzew, niektóre były zaopatrzone w restauracje, albo hotele. Kiedy jednak droga oddaliła się od jeziora skończyły się piękne widoki i wjechaliśmy w nudny, szarozółty krajobraz pofalowanych pól obsianych zbożem.

Zatrzymaliśmy się jeszcze na obiad w Ercis, dużym mieście. Szukaliśmy poczty, bo Iwona, tradycyjnie wypisała kilka kartek pocztowych i chciała je wysłać. Odsyłali nas od poczty do poczty, aż trafiliśmy do głównego urzędu. Nieodstraszyła Iwony ogromna kolejka, sięgająca aż ulicy. Tak na oko trzy godziny stania. Okazało się, że jedyne okienko, gdzie żaden z petentów się nie dobijał, to było okienko do wysyłania listów. Wyraźnie znudzony pan nie mógł przestać się cieszyć na widok kartek i pytania o znaczki. Być może czekał tu od wielu lat na okazję spełnienia swego pocztowego obowiązku, bo nikt już dziś nie wysyła listów. Wychodził co dzień do pracy, a żona podsyciała jego upadającą nadzieję mówiąc – dziś na pewno ktoś przyjdzie do ciebie kupić znaczki. Wielka radość szybko zastąpiona została urzędniczą powagą i być może żalem na koniec, bo teraz drastycznie zmniejszyło się prawdopodobieństwo, że jeszcze ktoś kiedyś przyjdzie po znaczki, a do emerytury już blisko.

Długo szukaliśmy odpowiedniej plaży na nocleg. Najpierw na zdjęciach satelitarnych, potem tak na żywo. Wschodnie i północne wybrzeże jeziora Van jest zabagnione szuwarami, w których lęgną się tysiące muszek i brzydki zapach zgnilizny. W końcu jednak trafiliśmy na obleganą przez lokalnych ludzi plażę żwirową, ale zaśnieconą i z mętną wodą. Postawiliśmy się na wysokim klifie, z dala od plażowiczów. Iwona poszła się wykapać, ja jedynie zanurzyłem giczoły na skałach. Woda była dość chłodna.

Wieczorem przyjechali inni podróżnicy. Para z Holandii podróżuje pięć miesięcy po Gruzji i Turcji. Wymieniliśmy sporo informacji o tym gdzie jechać i po co, co warto zobaczyć, gdzie taniej zatankować paliwo, gdzie łatwiej przejechać granicę, gdzie są dobre noclegi na dziko, i takie tam podróżnicze wieści. W końcu wygoniły nas do samochodów miliony muszek, które znalazły się przy nas, tuż po zachodzie słońca. Księżyc wyszedł dumnie na niebo w zastępstwie, jechał po nim w pełnej krasie, dziś pełnia. Muszki nie gryzły, ale oblażyły nagą skórę i wciskały się do oczu. Reagowały na światło niezwykle łapczywie. Jeszcze długo w noc, wybijaliśmy ich setki szwadronów w samochodzie, elektryczną łapką. Reszta przyglądała się tej rzezi, oblepiając moskitiery od zewnątrz.

Kolejnego dnia nadal podążaliśmy na północ. Nowa autostrada łączyła jezioro Van z przygranicznym miastem Dogubayazit. Jednak kiedy miniliśmy kilka posterunków wojskowych, zjechaliśmy z niej w drogę boczną, tuż przy granicy irańskiej. Próbowaliśmy znaleźć jakieś sensowne wytłumaczenie dla tak dużej ilości wojska na granicy z Iranem, na dodatek rozłożonego nierównomiernie. Ale nie mogliśmy tego zrozumieć.

Jechaliśmy teraz szutrową drogą, przez biednie wyglądające wioski kurdyjskich pasterzy. Z pozoru skrajne zacofanie i ubodzy mieszkańcy, ale prawdopodobnie większość z gospodarstw to letnie rezydencje pasterzy, tymczasowe budynki gospodarcze, rozrzucone po podwórkach narzędzia rolnicze. Jednakże nowe traktory kolidowały z wizerunkiem biedy.

Droga była niesamowicie zakurzona. Deszcz dawno nie był tu widziany. Tumany lotnego pyłu unosiły się za samochodem, tworząc jakby dalszy jego ciąg, jakby to długi pociąg pełzył przez pagórkowate pastwiska. Duszący piach wirował za nami, tak jak świat dzieci z wiosiek, przez które przejeżdżaliśmy. Te dzieci były inne niż z okolic granicy syryjskiej. Wytrzeszczały oczy na nasz widok, próbując pojąć co to za samochód i skąd się tu wziął. Ta inność zatrzymywała ich w biegu do krów, albo w zabawie na rowerze. Stali i połykali oczami obecność Innego, elementu z obcego świata. Byli na etapie zadziwienia. Może dlatego mogliśmy rozdawać przyjemność samą tylko naszą obecnością. Może za parę lat, kiedy zobaczą innych, dziwnych turystów, jeżdżących bocznymi drogami, zadziwienie szybciej minie i pojawi się ochota zaakcentowania swojej obecności, przez machanie ręką do turysty.

Później jeszcze, może przyjdzie chęć zadziergnięcia znajomości, zagadania i tak dalej, jak to w kurdyjskich wioskach, ale tych bliżej turystycznego nurtu.

Najtańszym budulcem na tych suchych jak pieprz pagórkach, jest kamień. Wszystko, począwszy od płotów i drogi, a skończywszy na domach i zadaszeniach, zrobione jest tutaj z szarego kamienia. Wioski naturalnie wpasowują się w otoczenie, jednocześnie kamuflując się. Tylko bardziej bogaci pasterze mają dachy z kolorowej blachy trapezowej i one świecą w słońcu już z daleka. Także niebieskie traktory są widoczne na polach, z których zwożą słomę.

W kolejnej wiosce Gozukara, bacznie strzeżeni przez okrągłe, czarne oczy dzieciaków, skręciliśmy w podrzędną ścieżynę, prosto na przełęcz, między płoty utkane z suchych, kolczastych gałęzi i kamieni. Wieść o czarnym, zakurzonym, dziwnym pojeździe zostanie z dziećmi na jakiś czas. Tak jak niepojęty cel naszego przejazdu. Sami nie wiedzieliśmy czy uda się nam przejechać te ostatnie kilkadziesiąt kilometrów do Dogubayazit, drogą przez pustę góry. Powtarzaliśmy sobie – zawrócimy jak będzie zbyt trudno dla Sprintera.

Ale udało się przejechać. Tumany kurzu spod naszych kół były jeszcze gęstsze, jak szara ściana za samochodem, rzucająca cień, jak coś namacalnego. Na serpentynach, kurz zawiewało przed samochód, tak że jechaliśmy jak we mgle. Suchość sięgała na kilka centymetrów powierzchni wyjeżdżonych w stoku góry kolein. Pył sam się poziomował w tych rynnach, jakby był wodą. Mielony przez koła traktorów i wytrawiony miesiącami z wilgoci, był lekki jak puch i ulatywał z wiatrem.

W końcu dotarliśmy do większej wioski Yukaritavla, gdzie zbudowano domy zamieszkałe przez cały rok. Tutaj nie było oznak biedy, raczej gospodarności. Rolnicy pracowali na polach, pakując słomę na przyczepy traktorów. Nie zwracali na nas uwagi. Wjechaliśmy na ubitą czerwonym szutrem drogę główną zdążającą stromo w dół do miasta i wysunęliśmy się spomiędzy skał, by zobaczyć piękną panoramę sporego miasta w dolinie, a w tle ośnieżony, monumentalny masyw Arrarat. Za chwilę byliśmy na asfalcie i przy pałacu Ishaka Pashy. Nie mogliśmy się nadziwić, jak zmieniło się to miejsce. To znaczy pałac, meczet Beyezit i drugi Ahmed Hani, stały tu 19 lat temu i 10 lat temu, kiedy tu bywaliśmy, ale całe otoczenie zmieniło się nie do poznania. Zbudowano brukowaną drogę, parkingi dla autokarów, restauracje, hotel, a to wszystko wypełnili szczelnie, w to sobotnie popołudnie, turyści, prawie wyłącznie tureccy.

Od miesiąca widzimy co chwilę te zmiany w turystyce tureckiej i ciągle nie możemy uznać tego za normę. Ciągłe to nas zaskakuje, jak bardzo zmieniła się Turcja przez ostatnie dziesięć lat pod względem wewnętrznej turystyki. Odkryto nowe destynacje, rozreklamowano je i zbudowano całą, zupełnie od nowa, infrastrukturę, od razu na wysoki poziom. Ludzie przyjechali w te miejsca indywidualnie i zbiorowo, autokarami. Inne zaś miejsca, te które były już wcześniej nazwane turystycznymi, popadają w zapomnienie, zarastają chwastami, a lichej jakości infrastruktura, szybko niszczy się i obraca się w ruinę.

Przypomnieliśmy sobie naszą ostatnią wizytę w Mongolii, kiedy spostrzegliśmy jak wiele powstało nowych yourtcampów dla mongolskich turystów i jak niewielki procent z przyjezdnych stanowią turyści zachodni. Tam też się zmieniało. Kraje dotąd uważane przez nas za dzikie, żyjące we własnym świecie, albo inaczej, w świecie niezglobalizowanym, gdzie rynek nie rozpoznał jeszcze trendów światowych, zmian myślenia społecznego i zmian struktury społecznej. Gdzie jeszcze tradycyjnie spędzano wolny czas z rodziną w domu, ewentualnie podróżując do dalszej rodziny, lub w miejsca religijne. W ostatnich latach zmieniają się drastycznie w kierunku Zachodu.

W Indiach, w Himalajach, trzy lata temu spostrzegliśmy, jak wiele młodych Indyjczyków, zakłada buty trekkingowe i idzie na szlak, na trasy dotąd wydeptywane przez zachodnich turystów. Wypożyczają elektryczne rowery górskie, w tworzonych dla nich górskich kurortach. Ubierają się po zachodniemu, tak myślą i tak chcą żyć. Pierwsze dwadzieścia lat XXI wieku to znaczące zmiany w krajach dotąd funkcjonujących tradycyjnie. To już nie jest tylko dostęp do Coca-Coli, czy Facebooka, to głębokie zmiany imaginariusium społecznego wielu krajów.

Pociągnie to za sobą odstępianie od tradycji 'ojców', konflikty międzypokoleniowe, problemy rodzinne, dotąd w tych krajach nieznanne, urodzą się nowe gałęzie handlu i usług, jak chociażby turystyka. A to wszystko będzie się działo w następnych dziesięciu latach, bardzo szybko. Globalizacja myślenia społecznego, przejście na zachodni tryb, stanie się powszechne i może tylko Papuasi w dżungli zostaną na dłużej sobą. Cała reszta stanie się kopią Amerykanów. Oczywiście drobne niuanse, takie smugi charakterystyczne dla lokalnych kultur zostaną i będą obiektem studiów naukowców, oraz poszukiwań wrażliwych podróżników. Odmienność zostanie, ale nie będzie już tak oczywista i widoczna.

Tymczasem zjechaliśmy stromo w dół do miasta. 19 lat temu, w zimie, tuż przed sylwestrem, spychaliśmy naszą Toyotę, tą drogą do Dogubayazit, bo zamrożone paliwo irańskie nie pozwoliło jej uruchomić. Teraz zaparkowaliśmy na przedmieściach i poszliśmy dalej pieszo zwiedzać. Próbowaliśmy odszukać tę restaurację, do której siłą rozpędu zjechaliśmy z kempingu Murat. Restaurację gdzie poprosiliśmy o wrzątek, by ogrzać filtr paliwa. Ale tyle się tu zmieniło, miasto jakby urosło, zmężniało, ubrało najmodniejszy garnitur, zupełnie się przebudowało. Prawdopodobnie tu, gdzie wtedy zajechaliśmy, teraz jest deptak pełen butików i restauracji, w których należy bywać. Modnisie Dogubayazit i przyjezdni turyści, spacerują leniwie w cieniu kamienic.

Szukaliśmy normalnego sklepu i znaleźliśmy go dopiero w bocznej uliczce, a tuż obok sklep z lokalnym serem. Dwie panie, przed nami, kupowały wiele kilogramów sera. Może na jakieś wesele, czy coś. Pan serowar ładował kawałki białego sera z ziołami do wielkich beczek plastikowych i zalewał je serwatką. Częstował nas kawałkami sera, abyśmy nie stracili cierpliwości. Potem okazało się, że za kilogram sera chciał tylko 12zł. Kupiliśmy mniej niż te dwie panie, ale i tak zostaliśmy zaproszeni na herbatę.

Wcześniej zaoszczędziliśmy 5.50zł na parkingu, parkując dalej od centrum, więc szarpnęliśmy się na kilogram sera. Będzie do tego niedobrego wina tureckiego, może nieco poprawi smak wieczorów. Zastanawiałem się, czy odmawianie sobie przyjemności życia, by oszczędzać w nieskończoność, ma jakiś wyższy sens. Pracować sporadycznie, by mieć nieograniczoną ilość wolnego czasu na podróże i inne rzeczy, ale być zmuszonym do drastycznego oszczędzania, liczyć każde pięćdziesiąt groszy. Zastanawiałem się siedząc na deptaku i popijając herbatę o specyficznym dla Dogubayazit smaku.

Dalej pojechaliśmy w kierunku góry Arrarat. Najpierw próbowaliśmy podjechać od strony wioski Golyuzu, ale zawrócono nas na posterunku wojskowym i wskazano dojazd z innej strony, z tej, z której wydawało mi się, że dojazdu nie ma, bo na zdjęciach satelitarnych, droga wyglądała na zupełną nędzę. Pojechaliśmy tam i okazało się, że w tym powulkanicznym krajobrazie i ciemnych kolorach kamieni, trudno jest ze zdjęć satelitarnych odróżnić drogę szutrową od otoczenia.

Droga prowadziła aż na prawie 2300m n.p.m. Dalej była kompletnie rozmyta przez wiosenne roztopy. Na zaimprovizowanym parkingu zawracały busiki Ford Transit, które dowoziły całymi tabunami turystów, zdążających w zorganizowanych grupach na szczyt Arrarat. Oprócz samych turystów, dowożono ich bagaże, żywność, plastikowe sztucce, papier toaletowy w dużych ilościach, wodę i inne. Ładowano to na dziesiątki mułów, które robiły po dwa kursy dziennie, do pierwszej bazy pod szczytem. Do miejsca, gdzie jeszcze kilkanaście lat temu można było dojechać samochodem osobowym, ale drogę przestano utrzymywać. Drogie maszyny budowlane, które każdej wiosny odnawiały drogę, porzucono, a ktoś je podpalił, wiele lat temu.

Okoliczni biznesmeni turystyczni radzą sobie jak mogą. Dowożą turystów tak wysoko jak się da. Dalej muszą iść pieszo. Około 9 kilometrów i 1000 metrów w pionie, do pierwszej bazy. Tam nocują w zaimprovizowanych namiotach, posilając się tym, co przyniosą karawany mułów. Następnego dnia idą następne tysiąc metrów w pionie do kolejnej bazy,

tam nocują i kolejnego dnia wreszcie atakują szczyt, czyli 5137m n.p.m. Schodzą w dwa, albo jeden dzień, na powrót do busika, który ich zabierze do hotelu w Dogubayazit.

My zanocowaliśmy na parkingu, na który później dojechał Rosjanin z Irkucka. Wjechał po tych dziurach swoją miejską Hondą, japońską odmianą z kierownicą po prawej stronie. Sam zdobywa szczyty, bez pomocy lokalnych. Tydzień temu wszedł na Kazbeg od strony gruzińskiej, dwa tygodnie temu na Elbrus. Prawdziwy ruski człowiek, którego nic nie złamie. Kopci jak parowóz, popija piwem, śpi byle jak, ale następnego dnia zawdzięcza wielki plecak na grzbiet i wali stromo pod górę, najkrótszą, czyli najtrudniejszą drogą na szczyt. My poszliśmy starą drogą samochodową, czyniąc małe skręty na serpentynach. Główna droga do pierwszej bazy jest jedna, chociaż niżej ma kilka rozgałęzień. Natomiast ścieżek jest kilka, my widzieliśmy trzy.

Nie był to trekking marzeń. Jedyne co może przyciągnąć zmysł estetyczny, to panorama doliny z miastem Dogubayazit i przeciwległe szczyty. Ta panorama jest widoczna z parkingu i im wyżej się wchodzi, tym bardziej się rozmywa w drgającym od słońca powietrzu. Ukrop jest niesamowity i tylko wiatr nieco studzi ciała wspinaczy. Idzie się około cztery godziny w górę i trzy w dół. Cały czas miałem wrażenie, że spacerujemy po hałdzie kopalnianej, pośród piachu, kurzu wzbijanego spod nóg i ciągle tych samych rumowisk kamieni i piargów. Jedyne zmiany to bazaltowe głazy o fantazyjnych kształtach, kilka dudków, takich ptaków i nieustająca perspektywa ośnieżonego szczytu Arrarat.

Każdy w Europie wie, że Arrarat jest świętą górą dla Ormian, ale od wieków w posiadaniu terytorialnym Turcji. Dwóch zwaśnionych dawnymi pogromami narodów. Naturalną rzeczą dla wszystkich społeczności żyjących w animistycznych religiach było utożsamianie się z niezwykłymi obiektami przyrody. Jeśli nie wielka góra, to wielki dół, albo rzeka, albo cokolwiek innego. Dawni ludzie nazywali takie miejsca „naszymi” i wiązali z nimi kult świętości. Życie w przyrodzie wymuszało jej uświęcanie. Pierwotny kult pozostaje w narodach na bardzo długo, jest wplątany w następne, bardziej nowoczesne religie, zorientowane już na spersonifikowanych bogów, bliższe nowożytnym realiom życia ludzi, wielkim społecznościom żyjącym niezależnie od ujarzmionej już przyrody. Nie inaczej jest w Polsce, więc dlaczego nie w Armenii, gdzie kult protochrześcijański, jest widoczny do dziś. To było jedno z pierwszych państw, które przyjęło chrześcijaństwo, w czasach kiedy w Polsce ludzie żyli w szałasach, w lasach i wierzyli w orła białego.

Nazwa Arrarat jest dziś powszechna głównie na Zachodzie i trochę w Armenii. Pochodzi od imienia boga Ara, z epoki brązu. Był bogiem śmierci i odrodzenia. Być może nazwano tak górę, z powodu silnych zmian klimatycznych, między zimą a latem, jakie można obserwować gołym okiem. Dziś znamy ją jako Arrarat i jest górą o imieniu. Jakże inaczej by jawiła się nam w głowach, gdyby imienia nie posiadała.

Turcy nazywają ją Agri, co w wolnym tłumaczeniu znaczy smutek. Coś jak słynny Mount Sorrow kapitana Cooka na płw. York w Australii. Kurdowie nazywają Ararat Agiriyeye, czyli coś z ogniem. Bo Ararat jest wulkanem, który ostatnio wybuchł w pierwszej połowie XIX wieku. Jego wulkaniczny charakter widoczny jest wszędzie dookoła, kolorem jak i strukturą kamieni. W Armenii Ararat jest nazywany oficjalnie Masis. Kiedyś wymagano specjalnych pozwoleń na wejście na szczyt, być może od czasów zbudowania na jej zboczu stacji radarowej przez Amerykanów, w latach '50-tych. Dziś pozwoleń jakoś nikt nie wymaga, można wchodzić indywidualnie, ale od strony zachodniej.

Pierwszy raz, stopa zachodniego człowieka stanęła na szczycie w 1829 roku. Wejście nie jest zbyt trudne, jak dowodzą kurdyjscy przewodnicy. Trzeba mieć jedynie ciepłą kurtkę i raki, aby iść po lodowcu.

Według starożytnych legend o raju, potopie i takie tam, które krążyły od tysiącleci po rejonie południowej Azji i Europy, jakiś szczyt miał być ostoją dla arki, którą podążali ludzie i zwierzęta uratowani z potopu. Według legend hinduskich, starszych od naszych, biblijnych, arka osiadła na szczycie Himalajów. My chcemy wierzyć w wersję zoptymalizowaną dla naszych realiów i Noe miał osiąść na Ararat. Góra dla wielu, w rozliczny sposób, jest

symbolem. Może wejście na nią nie jest wyczynem, ani urodziwą przechadzką, ale i tak wala na nią w okresie letnim dziesiątki turystów dziennie. Dolna baza, to rozbudowane miasteczko namiotowe. Każda firma turystyczna ma tutaj swój zakątek, z kibelkiem, jadłodajnią i namiotami sypialnianymi. Dziwne, że jeszcze nie odnowiono drogi dojazdowej.

Spod Ararat, zaraz po męczącym trekingu, ruszyliśmy na północ, przez wioski Ortulu i Bozkurt. To był dobry wybór. Wioski są niezwykle malownicze. Zbudowane z wulkanicznego, rudoczarowego kamienia, wyglądają jak spetryfikowane i uświęcone mianem zabytkowych, za życia. Mieszkają tu głównie pasterze i to nie przez okrągły rok.

Zmagaliśmy się ciągle z utratą zasięgu satelit w GPSach. Podobnie jak w okolicy miasta Mardin, nasze GPSy traciły lokalizację na mapie, bo ktoś zagłusza sygnał satelit. Jedyne smartphon, który lokalizuje się dzięki naziemnym stacjom nadawczym, znał swoją pozycję. Dalej pojechaliśmy na północ, wzdłuż granicy armeńskiej. Zatrzymaliśmy się tylko na chwilę w Igdir, gdzie uzupełniliśmy zapasy.

Następnego dnia przed południem, wspinaliśmy się na klif ponad granicą rzeką Arpa. Nocowaliśmy przy jej dopływie Aras, pośród rudoczarowych piargowych wzgórz. Teraz kierowaliśmy się do starożytnego miasta Ani, na zwiedzenie tego co pozostało po zniszczeniu miasta przez Turków seldżuckich, a potem przez trzęsienie ziemi w 1319 roku. Od 2016 Ani znajduje się na liście UNESCO, a Unia Europejska czynnie wspierała restaurację terenu dawnego miasta Ani, by mógł być zabytkiem dla turystów.

Aby dostać się na wielki parking pod visitors center, trzeba przejechać wioskę pasterską Ocakli. Nowoczesne zabudowania visitors center miały służyć sklepom z rękodziełem, ewentualnie prezentacjom artefaktów muzealnych. Dziś jest tu nędzny sklepik z lokalnymi wyrobami, restauracja i kasa biletowa. Wejście przez monumentalne mury miejskie Ani, jest rejestrowane na bramce przez system komputerowy. Pewnie wymóg Unii, za dofinansowanie.

Dalej przechodzi się krętą drogą przez Bramę Lwa i szerokie mury, aby wejść na teren samego miasta przez kolejną bramę, z symbolem słońca ponad. Wtedy naszym oczom ukazuje się... pobożowisko. Płaski teren klifu ponad rzekami Arpa i Alaca, pokrywają rozrzucone, obrobione na sześciany, głązy. Stoi może kilka budowli, w tym dwie wyglądają jak budynki, reszta to zrujnowane do fundamentów szkielety. Odnowiono jedynie pałac Seldżuków. To znaczy zbudowano go od nowa, nowoczesnymi metodami i obłożono kamiennymi płytami, by wyglądał, jak skonstruowany z litego kamienia. Wewnątrz to pusty hangar. Kościół św. Grzegorza jakoś się trzyma, katedra stoi dzięki podtrzymywaniu stalowymi rusztowaniami. Obraz dawnego Ani rozczarowuje, zwłaszcza kiedy zna się piękną zabudowę, nie tylko sakralną, z Armenii. O Ani można poczytać, ale oglądać nie ma co, chyba że ciekawe położenie u zbiegu dwóch rzek, na wysokim klifie.

Nazwa miasta prawdopodobnie pochodzi od imienia boga Anahita, dawnego protektora starożytnej Armenii. Ale równie dobrze może pochodzić od nazwy pogańskiej fortecy Ani-Kamakh. W pierwszych wiekach powstawania miasta, często było nazywane Khnamak.

W każdym razie Ani było niegdyś, w X i XI wieku, stolicą wielkiej Armenii. Wcześniej było nim miasto Kars, istniejące do dziś, o kilkadziesiąt kilometrów na zachód. Ani w czasach swej świetności konkurowało z Konstantynopolem i Bagdadem, zarówno pod względem wielkości, jak i znaczenia zarówno politycznego, jak i handlowego. Może właśnie z tego powodu, kiedy siła królestwa wielkiej Armenii podupadła, Ani było zdobywane co i rusz przez armie sąsiadów. Kilkakrotnie zdobywali je Turkowie, najwięcej chyba Gruzini. Wyniszczył je Chingys-Khan, a już po trzęsieniu ziemi, które definitywnie zakończyło żywot miasta, zdobył je jeszcze Tamerlan. W XVI wieku było w rękach perskich, potem wróciło pod władzę Turków Otomańskich i w 1735 roku, ostatecznie opuścili je mnisi, dotąd rezydujący w pozostałościach budynków sakralnych.

W XIX wieku jacyś Europejczycy na nowo odkryli ruiny Ani i opublikowali artykuł o swym znalezisku. Pod koniec XIX wieku, gruziński archeolog Nikolai Marr, sponsorowany przez Petersburską Akademię Nauk, rozpoczął prace odkrywające dawne ruiny. Wówczas był to teren rosyjski. Niedługo potem jednak przeszedł pod panowanie Turcji i jedynie okazy wykopaliskowe zostały ocalone i przewiezione do muzeum w Yerevanu, stolicy dzisiejszej Armenii.

W 1921 roku, rząd Turcji wydał rozkaz zniszczenia wszystkich pozostałości po Ani. To był czas zimnej wojny między Rosją, a Turcją. Ta pierwsza czyniła różne zabiegi, w tym podburzała licznych, zamieszkujących terytorium Turcji, Ormian, by przeciwstawiali się władzy z Istanbulu. Za co mieli być uhonorowani zwróceniem dawnych ziem armeńskich do macierzy. Wynikło z tego wiele złego, w tym pogrom setek tysięcy Ormian, zwany dziś ludobójstwem. Historia lubi się powtarzać, kiedy dwóch silnych walczy ze sobą, za pomocą słabego, to zwykle ten ostatni dostaje po dupie. Mamy to chyba nawet dziś w Ukrainie.

W każdym razie rozkaz nie został wykonany w pełni. Komandor Kazim Karabekir, zrównał z ziemią pozostałości budynków, ale nie ruszył świątyń. W tym samym roku ustanowiono traktat pokojowy między Turcją, a Rosją, który wyznaczał granice, do dziś obowiązujące. Ani miało wejść do Armenii, ale negocjacje się nie powiodły. Powtórzono je w 1968, kiedy miano wymienić ruiny Ani na parę wiosek kurdyjskich, będących po stronie radzieckiej Armenii. Ale te negocjacje również spełzły na niczym.

W nowożytnych czasach ruiny Ani były niedostępne dla zwiedzających. Pierwotnie z powodu strefy przygranicznej. Granica to właściwie płot miasta Ani. Potem z powodu działalności kurdyjskich partyzantów. Władze Armenii i Turcji wielokrotnie obwiniały się nawzajem o rujnowanie pozostałości Ani. Armenia dowodziła, że Turcy rozmyślnie niszczą, a Turcja ripostowała, że to Ormianie wzbudzają trzęsienia ziemi wybuchami w pobliskim kamieniołomie. Takie dziecinne zagrywki z piaskownicy. Wszak to jednak Azja.

Chłopcy jednak w końcu dorosli i w XXI wieku, gubernator prowincji tureckiej Mehmet Ufuk Erden wygłosił znamienne słowa – „Odbudowując Ani, wniesiemy wkład w rozwój ludzkości. (...) Zaczniemy od jednego kościoła i jednego meczetu, a z czasem obejmiemy każdy zabytek.” Taki jest nowy początek wielkiej stolicy, wielkiej Armenii, która armeńska była bardzo krótko, w porównaniu do czasu, kiedy była pod panowaniem innych narodów.

Z Ani pojechaliśmy przez płaską przełęcz prawie 2000m n.p.m. do miasta Kars. Przejechaliśmy główną ulicą pod nowe muzeum sera i tam zaparkowaliśmy. Kars słynie z krowiego sera, miodu i gęsi. Muzeum jest zbudowane w duchu nowoczesnej, rustykalnej architektury surowego betonu i braku jakichkolwiek ozdób. Można tu kupić żółte sery regionalne, tak jak w licznych serowarniach, w mieście. Gatunków serów jest wiele i ku mojemu zaskoczeniu, są naprawdę dobrej jakości.

Poszliśmy zwiedzać miasto w to poniedziałkowe popołudnie. Początkowo nie zrobiło na nas pozytywnego wrażenia. Wyglądało jakby kiedyś, ktoś zainwestował w jego nowoczesny wygląd, w parki i chodniki, ale to było dawno. Niska jakość wykonania i czas, zrobiły co swoje. Ale bliżej centrum natrafialiśmy na kolejne remontowane od podstaw ulice i zabytkowe kamienice. Może już niedługo Kars będzie ponownie pięknym.

Kars to typowe miasto pogranicza. Podobnie jak Ani przechodziło kilkadziesiąt razy z rąk do rąk. Każdy najeźdźca i władca zmieniał je po swojemu. Egzystowało tu wiele odmiennych kultur. Poczynając od tureckiej i perskiej, przez kaukaską i kurdyjską i na rosyjskiej kończąc. Każda pozostawiła nieco swojej zabudowy i zmian w obecnej kulturze miasta. Byliśmy zadziwieni jak mało na chodnikach Kars jest kobiet w czadorach. Jak nowoczesnie młodzi ludzie są ubrani i jak spędzają wolne od pracy popołudnie. Również architektura jest zaskakująca. Niektóre uliczki wyglądają jak żywcem wyjęte z rosyjskiego Władykaukazu, stolicy Osetii Północnej. Czyli styl rosyjski, kolonialny. Podobno można też zauważyć budynki w stylu bałtyckim, cokolwiek to znaczy, ale odróżniają się od innych surowością kamienia i małymi oknami.

Kars słynie też z gęsiny w kaszy bulgur, czyli specjalnie przygotowywanej pszenicy. Hotele, a nie Otele, oraz restauracje w mieście, noszą nazwy od rosyjskich sław kultury. A to restauracja Dostojewski, a to hotel Puszkina i podobne. Kars ma niezwykłą jak na Turcję atmosferę inności, mieszanki różnych kultur i poczucia uwolnienia od nowoczesnego stylu tureckiego. Miło spędza się tu czas.

Noc spędziliśmy nad jeziorem Czildir, na północ od Kars. Postanowiliśmy zwiedzić jego zachodnie wybrzeże, te zupełnie nieturystyczne. Malownicze, skaliste wzgórza schodziły tutaj stromo do wód jeziora. Zaparkowaliśmy na klifie już po ciemku, a rano przyjechali rolnicy zbierać siano z tarasowych i stromych pól. Przyglądali się niezwykłemu zjawisku na swym polu, ale nas w ogóle nie zaczepiali.

Późnym przedpołudniem puściliśmy się dalej, szutrową drogą, wzdłuż brzegu jeziora. Kolejne wioski były wypełnione gęsiami, które pasły się na trawiastych plażach i pływały w jeziorze. Dalej na północ zrobiło się płasko. Brzeg zasiały szuwary i wędkarze. Jak się okazało przyjeżdżają tutaj z miast. Zbudowano restaurację, drewnianą wierzę dla obserwujących rozlewiska, gdzie gniazdują ptaki. Ustawiono kilka znaków informacyjnych.

Nieco dalej na północ wjechaliśmy na trasę ciężarówek jadących z Azerbejdżanu. Biegnie wzdłuż nowej linii kolejowej, łączącej wschodnią Turcję z Tbilisi i Baku. Zauważyliśmy kilka TIRów z Kazachstanu. Zapewne przypląnęły promem przez Morze Kaspijskie do Baku.

Przed Ardahar spostrzegliśmy na wzgórzu, nowe zabudowania, halę sportową, bloki mieszkalne. Miasto wybudowało na kompletnym bezludziu uniwersytet. Budynki mają ledwie parę lat. Widywaliśmy już podobne przedsięwzięcia w Azji. Sztucznie tworzone ośrodki naukowe, zazwyczaj pośród dzikiej przyrody, z dala od miast. Jakby przyroda miała wzmagać postęp uczenia się i nauki w ogóle. W Europie już nie powstają takie uniwersytety. Azja musi nadgonić postęp cywilizacyjny. Ma młode społeczeństwa, które należy wykształcić, a popyt na papier magistra, czy inżyniera jest wielki. Z drugiej strony znamy problemy młodych ludzi, na przykład w Indiach, którzy są overqualified. Mają po parę dyplomów szkół wyższych, a pracy dla nich nie ma. Z trzeciej strony, tak jak w Europie, brak jest wykwalifikowanych techników, pracowników od prostej roboty. Każdy jest po studiach, a hydraulików brak.

Ardahar był podobny do Kars. Odróżniał się od typowych miast wschodniej i środkowej Turcji. Przypominał miasta europejskie. Mniej także było kawiarni, z przesiadującymi w nich mężczyznami, popijającymi herbatę. I mało ciastkarni, w których Iwona ciągle wypatruje bakławy.

Uzupełniliśmy zapasy i pojechaliśmy na przełęcz Artvin, 2410m n.p.m. Chyba tak się nazywa, bo pewności nie mam. Płaskowyz obrywa się w tym miejscu, schodząc stromo w szeroką dolinę z licznymi, skalistymi wzgórzami, porośniętymi lasem świerkowym. Taka Shangrila pośród pustych, suchych stepów. Utworzono zatem tutaj park przyrody i nazwano od jeziora Karagol i wioski Sahara.

Park nie jest w niczym niezwykły dla oczu Europejczyka. Ale przez kontrast do reszty regionu północno-wschodniej Turcji, jest fenomenalnie odmienny. Jest też miejscem, gdzie Turcy spędzają wolny czas. Jednak nieco inaczej niż Europejczycy. Nie ma tutaj wiele szlaków dla piechurów, ani singieltracków dla zapalonych rowerzystów. Trzeba sobie znaleźć jakieś ścieżki, aby móc gdzieś pójść, uprawiać jakąś turystykę w formie czynnej.

Turcy ze wschodniej części swego kraju, ledwie co zaczęli się unowocześniać w kwestii spędzania wolnego czasu. Wcześniej przesiadywali w domach, albo jechali do rodziny. Teraz zabierają rodzinę i przyjeżdżają tutaj, w góry, aby przesiadywać w bungalowach. Popołudnia zaś przesiadują w samochodach, którymi objeżdżają okoliczne wąskie dróżki, od wioski góralskiej do wioski z jakąkolwiek atrakcją. Na przykład jeziorem Karagol.

Nie ma ono typowo alpejskiego wizerunku. Jest wciśnięte w głęboką kotlinę i obsadzone świerkami. Dojazd na parking jest płatny, ale nie jest to droga przyjemność. Można tutaj nocować we własnym zakresie, co licznie Turcy i inni turyści czynią. Można spacerować

wokół niewielkiego jeziora, pływać po nim łódkami, jak w parku miejskim, lub przesiadywać w restauracji. My spróbowaliśmy trekkingu po górach. Szlaków nie ma, więc trzeba się posiłkować dobrą mapą, na której zaznaczono stare drogi leśne, albo ścieżki pasterskie.

Pierwszego dnia dotarliśmy do większego jeziora, niż to przy którym koczowaliśmy. Ale okazało się sezonowym. Nazywa się Cil. Tylko na wiosnę wypełnia się wodą. Późnym latem, to tylko szuwały pełne owadów, otoczone łąkami, które górale skrzętnie koszą, a trawę zabierają do domu. Udało się za to pospacerować po dzikim lesie, prawdopodobnie wypełnionym niedźwiedziami, sądząc po odchodach. Drożyny w górach może kiedyś były używane przez drwali, teraz są zupełnie zarosnięte, ale dostępne dla pieszych turystów.

Pewnie jak by ktoś zapragnął zażyć off-roadu na quadzie, lub crossie, to nikt by mu nie zabronił. Póki co takich zapaleńców tu się nie widuje, więc nikt się nie orientuje co by trzeba zakazać. Na razie piknikujących turystów jest coraz więcej. Buduje się nową drogę dla ich miejskich samochodów. Ale także stawia się znaki zakazu wjazdu i piknikowania, na terenach prywatnych, skoszonych łąk. Efekt skali. Kilku turystów wita się z otwartymi rękami, wielu odpędza się kijem. Ale wioski korzystają na ruchu przyjezdnych. Są hotele, restauracje, mały handel płodami rolnymi, miodem. Tylko bimbru nie da się kupić.

Za to w mieście Szavszat, takiej Szklarskiej Porębie, dla tego regionu, prawie każdy sklep oferuje alkohol. Coś niezwykłego w dzisiejszej Turcji. Ceny jednak wysokie i zaporowe, jak w Skandynawii. Szavszat jest pełne hoteli i restauracji. Nikt tutaj nie dziwi się angielską mową, kiedy zamawiamy herbatę, albo pidę. Ale główna ulica nadal ma charakter wiejski. To raczej miejsce zaopatrywania się górali w potrzebne do życia w górach rzeczy. Niektórzy osiedli już w mieście, może sprzedali stada i wybrali życie w bloku. Przesiadują swoje ostatnie lata w kawiarni na głównym placu Szavszat. Tuż obok wizerunku Ataturka, którego przedstawiono tutaj w postawie czarnoksiężnika, albo Kaszpirowskiego, z tym hipnotyzującym słabe umysły wzrokiem.

Górale mają twarze tak charakterystyczne, jakby całe ich życie, marzenia, namiętności i wszystkie emocje, wryły się w zmarszczki, a nawet kształt szczęki. Ich twarze mówią, każda swoją historię. Można je czytać jak książki, uciekając wstydliwie co chwilę wzrokiem w bok, by nie zostać przyłapanym na wścibstwie. Ten męski świat twardych górali w kawiarni przy herbacie, tak mocnej jakby pili samą esencję. Ten ich świat jest wart zauważenia, pewnie też odchodzi już w modnych, białych butach sportowych i dziurawych jeansach do miast.

Świat kobiet górali jest turystycznie niedostępny. Gdzieś tam przemykają po chodnikach, ale przesiadują w domach. To ich miejsce, nie kawiarnia na placu. Tylko dzieciom wolno biegać gdzie popadnie, w oczekiwaniu na wejście w rolę, jaką społeczność już dań przygotowało.

A więc siedzieliśmy pośród gadających bez końca górali na placu Szavszat. Uciekają z domów, od starych bab, w swój świat męskiego bajdurzenia. Sensu ich rozmów mogliśmy się jedynie domyślać. Nie dało się pojąć o czym tak dyskutują. Pewnie mają swoje sprawy, te przyziemne, o krowach na pastwisku, o sianie w oborze, czy wystarczy na zimę, o przeciekającym dachu i gderliwej żonie, może o dzieciach, które nie chcą być takimi jakimi starzy je projektują, a może o polityce i wojnie.

Ten postrzelony wymachiwał rękami i szczyrzył w uśmiechu usta ubogie w zęby. Ten flegmatyk oparł się łokciami o ceratę na ławie i tylko kiwał głową w zatłuszczonym kapeluszu. Inny, w plastikowych, za dużych butach, tłoczonych na podobieństwo trzewików do garnituru, przechadzał się bez końca między ławami, miętoląc koralowe groszki tesbih, muzulmańskiego różańca. Mamrotał modlitwy, albo przekleństwa, zgarbiony z pochyloną głową w berecie. Wyraźnie irytował dyskutantów swą alienacją i spokojem. Ale nie baczył na ich zaczepki.

Drobnej postury pani barmanka uwijała się między nimi z tacą herbaty w szklankach. Tutaj tace nosi się trzymając za uchwyt, jak koszyk piknikowy. Herbata zwykle wylewa się do podstawków pod filuternymi szklankami. Podnosząc je, zawsze kapie się ciemnym jak smoła płynem na ceratę stołu. Dużo się nie wypije, bo esencja czarnej herbaty to garbnik, można nim było kiedyś garbować skóry zdarte ze zwierząt. Trzeba by tą herbatę z małej szklanki

tureckiej rozcieńczyć w pół litrze wody, by miała europejski standard. Coś na podobieństwo amerykańskiej kawy, rozwodnionej jak czarna woda.

Koczowaliśmy na parkingu opodal jeziora Karagol trzy dni, płacąc jednokrotną opłatę za wjazd. W końcu Turcy zorientowali się, że coś tu jest nie tak i zażądali opłaty zbiorczej. Pojechaliśmy więc w nocy na jedną ze skoszonych łąk. Następnego dnia nieco dalej na wschód, w kierunku opuszczonej wioski Gokkusagi. Jest tutaj piękny kanion rzeki Szavszat, w którym można nocować nad samą wodą, nie będąc niepokojonym przez nikogo. Tutaj rzadko przyjeżdżają turyści. Chociaż widzieliśmy paru. Być może przyjechali zobaczyć wioskę, dziś opuszczoną przez pasterzy, zarośniętą trawą, nie koszoną zębami licznych stad krów i owiec, ale może w tej wiosce się wychowali i potem wyemigrowali. Trzeba pojechać stromo po dziurawej szutrówce cztery kilometry, aby dotrzeć na prawie 2000m n.p.m. Żaden turysta nie wykona takiego wysiłku bez potrzeby. Dalej, droga biegnie na szczyt płaskowyżu, ale nikt już chyba nią nie jeździ.

Opuszczone przez ludzi i bydło Gokkusagi malowniczo piętrzy się tarasami gospodarstw, wciętymi w trawiaste zbocze łysych jak kolano szczytów. Las nie dociera dalej jak do rzeczki Szavszat, przez którą w 1980 roku przerzucono betonowy most. Drewniane domy kryte blachą falistą przypominają opuszczone wioski w tajdze syberyjskiej. W zasadzie są identyczne. Po góralsku ułożone bale na zakładkę, uszczelnione mchem, albo gliną. Niektóre już się rozpadły, a korniki zjadają ich resztki. Inne jeszcze się trzymają. Nieliczne mają jeszcze okna i kłódki na drzwiach wejściowych. Ledwie dwa, może... widać że są używane. Jakiś pszczelarz przywiózł tutaj swe ule i wypuszcza pszczoły na wypas, jak kiedyś pasterze swe trzody. Przy jednym domu widać zadbane warzywniak, ale obejście i zadaszienia dla bydła są zarośnięte wysoką trawą. Liczyliśmy na wydeptane przez pasterzy ścieżki w górę, na szczyty. Ale znikły już dawno pod trawą.

W środkowej Turcji wypasa się bydło na lichej trawie suchego stepu wysokogórskiego. Tutaj jest woda, trawa, drewno na opał, a wioska opustoszała. Może tak ustanowiono jakimś dekretem.

W nocy przyszedł mały deszcz, a nawet błyskawice. Chmury zasnuły niebo. Dawno czegoś podobnego nie widzieliśmy. Zwątpiliśmy, czy w ogóle w Turcji kiedykolwiek pada jakiś deszcz. Od miesiąca widzimy tylko niebieskie niebo i palące słońce, a w nocy gwiazdy w większej ilości niż w Europie. Chyba Azja jest ich po prostu bliżej.

Dwa dni później wjechaliśmy do Gruzji przez rozbudowywane intensywnie przejście graniczne Posof-Vale. Migruje tędy bardzo dużo TIRów z Iranu i krajów otaczających Morze Kaspijskie. Gruzja jest poniekąd krajem tranzytowym, podobnie jak Niemcy.